Cena mk. 1,25

SPRAWA

TYGODNIK, SŁUŻĄCY ODRODZENIU NARODOWEMU W DUCHU KATOLICKIM.

Rok I. *Warszawa, dn. 25 kwietnia 1919 r.* Nr. 12.

TREŚĆ NUMERU:

Haller w Warszawie.

Nareszcie spełniły się nasze gorące oczekiwania i Haller, a wraz z nim pierwsze oddziały jego wojsk znalazły się w kraju.

Kiedym oglądał te olbrzymie tłumy ze wzruszeniem witające wodza i jego wojska, myśl moja pobiegła hen na Ukrainę, tam, gdzie się wielkość czynu hallerowego rodziła.

Po traktacie brzeskim tryumf państw centralnych zdawał się być zupełnym. Potężne imperjum rosyjskie w gruzach, a naród rosyjski obnażył nicość swoją moralną i zgniliznę. Cały wschód dla ekspansji niemieckiej stał otworem, a dla imperjalizmu germańskiego otworzyły się możliwości wprost nieobliczalne. Jak strasznie beznadziejnie na tle traktatu brzeskiego wyglądała sprawa polska. Kraj w żelaznych kleszczach okupantów, nie mogący przejawić swojej istotnej woli i skazany na bierność, a wszelkie próby stworzenia niezależnej siły zbrojnej polskiej przeciwko Niemcom na emigracji uniemożliwione albo przez małoduszność swoich, albo przez dzicz moskiewsko-ukraińską, albo przez zbliżające się wojska państw centralnych. I oto w takiej chwili obiega, podawana sobie z ust do ust z jakąś trwożną nadzieją wieść, że brygada karpacka Hallera, zwana żelazną, walcząc z Austrjakami, przebija się na Ukrainę. Straciła treny i artylerję, ale przeszła Dniestr i maszeruje na wschód, aby się połączyć z innemi oddziałami polskiemi, stworzonemi na emigracji.

A potem potrzeba kaniowska.

Na dawnych ukrainnych rubieżach Rzeczypospolitej garstka parotysięczna żołnierza polskiego na czele z Hallerem starła się z potęgą germańską, aby pokazać swoim, kędy droga do niepodległości, a obcym— że Polska żyje i żyć chce. Ten czyn dowiódł, że Polska reprezentuje ideę narodową i zdrowie moralne wśród barbarzyńskiej dekadencji wschodu.

Jakiej siły moralnej trzeba było, aby po rozbiciu korpusu żołnierz, który ocalał, i wódz jego, Haller, przedzierał się znów o głodzie i chłodzie przez morze bolszewickie, narażając się każdej chwili na śmierć, na daleki Murman nad morzem Północnem lub do śnieżnej Syberji, aby tam znów tworzyć polskie oddziały dla służby narodowej. Źródłem tej siły mogła być tylko głęboka wiara w naród i jego przyszłość, a wiarę taką mógł mieć tylko ten, kto wierzył, że „Bóg nas swoją drogą wszędzie prowadził, nie przypadki, jakim przypisuje się nieraz wydarzenia, ani nasze własne zmysły". Tak powiedział Haller na uroczystości wręczania mu ryngrafu przez przedstawicieli katolickich zrzeszeń polskich.

Ten generał sodalis, wskrzeszając tradycje wielkich sodalisów: Żółkiewskich, Czarnieckich, Puławskich, pomny słów dyktatora Traugutta, że „żołnierz polski to żołnierz Chrystusowy", rozumie, że służba Polsce, to jednocześnie wielka chrześcijańska służba cywilizacyjna, która nakazuje ofiarność czynów i poświęcenie.

Józef Chaciński.

Dwie rzeczywistości.

Wiele się u nas w Polsce mówi o rzeczywistości. Zarzuca się nam z dużą dozą słuszności brak poczucia rzeczywistości. Niektórzy publicyści i pisarze całą swą energję skierowują ku temu właśnie, by to poczucie w rodakach swych ugruntować. Na tem się wszak opiera realizm w polityce, w życiu społecznem, w literaturze, który się wyjaskrawia zresztą w naturalizm.

Iście ważną jest rzeczą *znać to, co jest.* Napozór — nic łatwiejszego, jakże jednak często spotykamy ludzi, co rzeczywistości nie znają, ba, nie czują jej nawet. Fikcje, pozory, urojenia, pragnienia własne biorą za rzeczywistość, a następnie dziwią się bardzo i gorzko się skarżą, gdy ta rzeczywistość płata im figle.

Przypomnijmy sobie najbardziej typowe momenty katastrof na tle ignorancji rzeczywistości, więc: „Nierządem Polska stoi", złudzenie o konieczności bytu Polski do równowagi europejskiej. Więc rachowanie na pomoc Francji w r. 1831 i 63. Więc wiara w powszechny wybuch patrjotyzmu w roku 1863 i w jego wszechmocne skutki.

Dalej z innych dziedzin złudzenia, kończące się katastrofą: marzenie jednostki, że ona może

„naród jak pieśń żywą
stworzyć; dźwignąć, uszczęśliwić,
cały świat nim zadziwić".

Wiara, że „my umarli pośród świata z świętej dla świata miłości". Obok tego jeszcze inna wiara, niemniej złudna, że im do węższego podwórka ograniczymy nasze horyzonty, tem skuteczniejszą będzie nasza praca.

Tak, dużo złudzeń krwawych i bolesnych zna dusza polska, to też słusznie nazwał Norwid Polskę „dużem dzieckiem z zalanemi łzą oczyma..."

Pomimo to, ci, którzy za swe zadanie uważają budzić w Polsce poczucie rzeczywistości, niekoniecznie najlepszą metodę wybierają. Posiłkują się oni najczęściej metodą brutalnego naturalizmu, jak to się mówi, „odsłaniają rzeczywistość", „zdzierają z niej szaty", wystawiają rzecz na światło dzienne, nicują ją, napełniają duszę sceptycyzmem, budzą niezadowolenie, gaszą wiarę i nadzieję — słowem analizą swą czynią z rzeczywistości rzecz martwą, daną jako „fait accompli", niezależną od nas i niezwiązaną z wolą naszą.

Tak, rzeczywistość jest straszna. Straszne jest błoto naszych dróg, brud chałup naszych, nędza i choroby naszych chłopów i miejskiego proletarjatu, chaos i bezmyślność naszych rodzin inteligenckich, dojutrkowość naszych ziemian, rutyna naszego duchowieństwa, chciwość wszystkich, kłótliwość nasza, zmysłowość, dążenie po linji najmniejszego oporu... Tak, złą jest rzeczywistość polska; i bólem i wstrętem każdego napawa...

Budzić poczucie rzeczywistości? To odsłaniać przed nim te krwawiące i cuchnące rany, to mówić, że się „Polskę buduje na bagnie", to wykrzywiać usta nasze w gorzki uśmiech sceptycyzmu...

Tak, to tak bywa...

A cóż potem dziwnego, że tam ktoś zawoła „że miło snami uciec z życia", bo wszak to

„tyle szczęścia, co człek prześni".

Więc to tak już bez reszty oceniliśmy życie i rzeczywistość? Czyż nic nam w bilansie naszych realjów nie pozostanie?

Pozostaje nam jeszcze cała olbrzymia druga połowa rzeczywistości, tylko że ją odcyfrować nierównie trudniej jeszcze, niż ową rzeczywistość „immanentną". Rzeczywistość ta druga — to *rzeczywistość ducha ludzkiego*, jakowaś rzeczywistość tajemna i święta, do której jakże rzadko przenikamy, jakże rzadko oddychamy jej tchnieniem ożywczem i błogosławionem!

Wzruszenie religijne, artystyczne lub patrjotyczne, dźwięk pieśni mocarnej, moment bohaterstwa lub poświęcenia, obcowanie z przyrodą, uczucie czystej miłości matki do dziecka, kochanka do kochanki, podziw dla wielkości, piękna i świętości — to wszystko otwiera przed nami wrota owej drugiej rzeczywistości, niemniej prawdziwej od tej, co nas otacza, jakże jednak odmiennej!

Tak, bywają chwile, gdy się nam z gardła wyrywa krzyk

„jeden z tych krzyków, które
czynią, że skrzydlata
natura ducha w kościach tak
jak ptaszek lata,
że duch na ustach staje i
już nie jest zdolny
zatrzymać płacz serdeczny i
śmiech mimowolny;
jeden z tych krzyków, które,
wnikając w człowieka,
tak śpiewa w nim jak anioł,
a jak szatan szczeka."

Tak, bywają takie chwile, kiedy się żyje jakąś głęboką, bytującą w nas rzeczywistością, tylko że chwile te my marnujemy, niszczymy je lekkomyślnie, a potem to tak łatwo wołać do młodości (bo to w młodości chwile takie bywają najczęstsze!)

„Młodości, wyrwij mię z cieśni,
Oplatają mię grzyby i pleśni,
O młodości, jakożeś daleko,
A to wczoraj było, tylko wczora."

Trzeba więc zrozumieć — a psychologja nam rzecz tę ułatwia, że świat możliwości twórczych, który się przed nami w chwilach owych odsłania, jest nie mniej rzeczywisty, niż ten świat, co nas otacza. Rzeczywistość to glob wielki, „rozwałkoczony", jak mówi Słowacki, w części stwardniały, lecz w części płynny jeszcze i lotny, zmysłami nieogarniony, jednak *w całości* swej dopiero prawdziwy i rzeczywisty. Analizie się rzeczywistość nie poddaje, bo z analizy jak powiada Bergson, wymyka się nam to, co jest samą rdzenią rzeczywistości, co jest nieuchwytne, zmienne, ruchome, a jednak prawdziwe, bo pozostawiające po sobie skutki realne i stałe.

Właśnie cała tajemnica postępu polega na sztuce utrwalenia momentów owych jedynych, gdy się żyje pełnią rzeczywistości, gdy się ją ogląda w samem jej rdzeniu, gdy się czuje jej potok, płynący lawą ognistą przez nasze wnętrze—na stały ton podniosły w życiu. Przerabiać zachwyt, zapał, wzruszenie na spokojną, jasną, nieugiętą wolę — to opanowywać rzeczywistość i tworzyć życie.

Są, prawda, ludzie—jakże, niestety, liczni, którzy przechodzą przez życie i umierają, nie zaznawszy tej drugiej rzeczywistości. Tymczasem, można powiedzieć za Mickiewiczem, że kto nie znał zachwytu, zapału — ten nie żył, „przemarnił życie, przepieniężył, przewegetował", lecz nie żył...

Tak więc są dwie rzeczywistości, tylko z ich wzajemnej ingerencji życie nabiera wartości i ten tylko zna życie, kto umie te dwie rzeczywistości łączyć w jedną całość organiczną.

My, Polacy, mamy stosunkowo większą niż inne narody czujność na głos tej drugiej rzeczywistości, rzeczywistości duchowej, może z powodu naszej t. zw. młodości kulturalnej. Zdolności tej do zachwytu, zapału, o czem tak wymownie mówi Mickiewicz w „Prelekcjach", a ostatnio I. K. Kochanowski w „Postępie ludzkości", wyrzekać się nie powinniśmy, pod groząą zatracenia w nas godności narodowej i zdolności do postępu.

Stanisław Cywiński.

Zjazd nauczycielski.

W dniach 14, 15, 16, 17 kwietnia b. r. odbył się w Warszawie olbrzymi zjazd nauczycielski. Zjechały się nań delegacje zrzeszeń nauczycielskich z dawnego zaboru austrjackiego i pruskiego. Zabór dawny rosyjski również pokaźną liczbę uczestników dostarczył. O potrzebie zreorganizowania naszego szkolnictwa zarówno powszechnego, jak i średniego nikt nie wątpi. Konieczność ujednostajnienia szkolnictwa we wszystkich dzielnicach Polski jest przez wszystkich uznawana, przedewszystkiem zaś spolszczenie szkolnictwa naszego jest rzeczą najpilniejszą. Zaborcy w dziedzinie szkolnictwa największe porobili wyrwy, kształcąc młodzież naszą według swych typów państwowych, dla

celów swoich, nie licząc się z psychiką narodową naszą. To też na dobro naszemu nauczycielstwu policzyć należy, że wszystkie te potrzeby odczuło, zjeżdżając się tak licznie. Niejeden z wybitnych naszych pedagogów jechał na Sejm nauczycielski z tym zamiarem, aby samemu czegoś się nauczyć i podzielić się swojemi myślami z resztą nauczycielstwa zebranego. Tymczasem organizatorowie zjazdu popełnili jeden zasadniczy błąd. Sądzili bowiem, że komisje, złożone z kilkuset członków, mogą, lub są w stanie opracować cały ustrój szkolnictwa. Tłum może burzyć, ale budować nie jest zdolny. Do budowy zrębów chociażby potrzeba tęgich głów o niepospolitej pracy i głębokiem doświadczeniu. W masie zaś nieraz młodych i niedoświadczonych nauczycieli i nauczycielek trudno żądać, aby złote myśli powstawały, aby przystępowano do szkoły, jako do sanktuarjum wychowawczego, do świętości narodowej. Stąd dyletantyzm, powierzchowność, dorywczość zapanowały na zjeździe. Brakowało bardzo mało, aby cały sejm nauczycielski nie zamienił się w wiec o dość radykalnych kierunkach i tendencjach. Dzięki tylko sprężystości i umiejętności prezydjum zjazdu pewne chropowatości i kanty, drażniące większość, zostały w miarę możności wygładzone.

Na otwarciu zjazdu przemawiał minister W. R. i O. P. prof. Łukasiewicz, p. Ignacy Baliński, prezes Rady Miejskiej, p. Rudziński, poseł do Sejmu, i ks. Jan Gralewski. Najtreściwsze było przemówienie p. Ministra, zbyt może dużo ideologji nieziszczalnej tam było, ale w każdym razie był to pewien program, natomiast przemówienia następne, a szczególniej ostatnie, choć co do formy doskonałe, ale w treść przeubogie. Zaś najbardziej uderzało to, że omawiając tak ważną sprawę, jak szkolnictwa, domagając się dla niego swoistości, oparcia na rodzimej kulturze, zapominano o tem, że właśnie ta swoistość naszej kultury — to głęboka religijność narodu naszego, niezachwiana wiara w Boga, przywiązanie do Kościoła. Wprost obawiano się o tem wspomnieć, a jeden z mówców, określając Polskę, zdobył się jeno na zaznaczenie, że Ojczyznę naszą stanowią, między innemi, i „dźwięki sygnaturki w wiejskim kościołku". Niechby szanowny mówca wczuł się w poezję naszą, w tęsknoty nasze, krzyże przydrożne, w mogiły męczenników za wiarę, to z pewnością więcejby znalazł strun religijnych w życiu naszem narodowem, ale widocznie nie wypadało w obecnych czasach mówić o Bogu i podkreślić z całym naciskiem, że bez czynnika religijnego, bez oparcia wychowania narodowego na Bogu, jako źródle prawa i obowiązku, myśleć nie można o odrodzeniu narodu i postawieniu szkolnictwa na właściwym poziomie. Ten duch indyferentyzmu przeniósł się i do sekcyj, które rozpoczęły pracować. W jednych był on bardziej umiarkowany, w innych przeistaczał się w małe hece antyreligijne, jak w sekcjach I—ustroju szkolnictwa i IV — szkoły powszechnej. Szczególniej nauczycielstwo szkół powszechnych okazało się bardzo radykalne w stosunku do Kościoła.

Przodowało w tem nauczycielstwo z Małopolski. Wprost dochodziło do ekscesów niekulturalnych, a przedewszystkiem niesprawiedliwych dla poznańczyków. Żądanie szkoły wyznaniowej powszechnej, co z taką energją i siłą zaakcentowali poznańczycy, było przyjęte niechętnie, wprost wrogo.

Zapomniało szanowne nauczycielstwo, że przecież na szczęście, nie ono, a cały naród zdecyduje, jaką chce mieć szkołę, a oni muszą być wykonawcami woli narodu całego. Nic zaś sobie narzucić przez garść krzykaczy nauczycieli naród nie pozwoli. Z przykrością więc słuchało się tych napaści na obronę zasady „szkoły katolickiej dla katolików, protestanckiej dla

---

X. LUDWIK GOCEL.

Skutki Traktatu Grzymułtowskiego z 1686 r. pod względem religijno-narodowym a chwila obecna.

Od początku Wielkiej Wojny i jednoczesnego z nią wprowadzenia na arenę światową kwestji polskiej, historja naszego narodu stała się przedmiotem wyjątkowych badań naukowych wśród obcych, a szczególniej u nas. Odwołujemy się ciągle do historji, gdy chodzi nam o odzyskanie tej lub owej ziemi polskiej, badamy teraz starodawne prawodawstwa nasze, stosunki narodowościowe Rzeczypospolitej i t. d. Ponadto czerpiemy z historji wiele rad, tyczących się urządzenia Polski odrodzonej, a jeszcze więcej przestróg, pouczających, jak mamy się uchronić od licznych, a tak brzemiennych w skutkach błędów przeszłości.

Zamiarem moim jest właśnie odsłonić jedną z tych zamierzchłych kart dziejów naszych, która dla każdego winna być groźnem „memento", a dla tych z pośród nas, co „opatrować" mają losy Polski, niech będzie ona poważnem ostrzeżeniem, nowem „caveant consules".

Studjując przeszłość ziem białoruskich znalazłem bardzo ciekawy materjał, wskazujący jak fatalnym w skutkach pod względem religijno-narodowym był traktat Grzymułtowskiego z 1686 r. Odnośny materjał znalazłem głównie w bardzo mało znanem [1]) dziele księdza Jana A. Kuleszy S. J. p. t. „Wiara prawosławna, Pismem św., Soborami, Ojcami Świętymi... y Historyą Kościoła objaśniona" Wilno 1704.

Jest to dzieło dogmatyczno-historyczne o charakterze wybitnie polemicznym, — świadczące o niezmiernej erudycji autora. Dowiadujemy się z jego książki, że pracował on jako misjonarz między 1680—1690 na najdalszych ówczesnych kresach Rzeczypospolitej — w województwach Czernihowskiem i Smoleńskiem. Niezwykły dar obserwacyjny i szczerość świadectwa czynią zeń pierwszorzędne źródło historyczne dla naszkicowanych poniżej zdarzeń. Właśnie przy nim był podpisany w Moskwie w 1686 r. przez Grzymułtowskiego traktat pokojowy, mocą którego Moskwa otrzymała na wieczne posiadanie wojew. Smoleńskie (bez obwodu Siebieskiego i Newelskiego), woj. Czernihowskie z ziemią Siewierską i Kijowskie po prawej stronie Dniepru i Kijów z pięciomilowym obwodem po lewej stronie rzeki.

Na tych ziemiach spotykamy już za czasów Witolda dość licznych katolików. Z czasem zjawiają się tu coraz częściej misjonarze łacińscy, którzy nawracają na katolicyzm zarówno bojarów jak i lud, a szczególnie szlachtę zagrodową.

Mimo skąpego materjału wiemy, że w Kijowie w 1646 r. były cztery kościoły rz. katolickie: — kate-

[1]) Estreicher zna zaledwie kilka egzemplarzy tego dzieła. Jeden z nich posiada Bibl. Krasińskich pod Nr. 10532.

protestantów", jakby koniecznie chciano wychowywać dzieci ludu naszego wespół z dziećmi żydowskiemi i jednej etyki ich uczyć, notabene, nie przez księdza i nie katolickiej. Dziwili się nauczyciele szkół powszechnych z Małopolski, a po części z Kongresówki, dlaczego to nauczycielstwo z Poznańskiego tak twardo stało na gruncie katolickim. Nie wiedzą z pewnością, że większość tych ludzi nauczyło się czytać po polsku na katechizmach polskich w kościołach. Gdy bowiem naukę języka polskiego usunięto ze szkół w zaborze pruskim, dziecko polskie uczyło się czytać po polsku, przygotowując się do pierwszej spowiedzi i Komunji św. Sądzę, że te niewczesne i niepożądane zapędy antykatolickie pewnej części naszego zradykalizowanego nauczycielstwa nie przyjmą się na gruncie naszego narodu. Lwia część naszych najbardziej pracowitych nauczycieli stoi również na gruncie zasad szczerze religijnych i katolickich.

Drugą cechą obrad ostatniego zjazdu było dziwne przemilczenie o wychowaniu moralnem młodzieży. Mówiło się dużo, by uczynić z dziecka obywatela - Polaka, ale bardzo mało, by stało się ono człowiekiem moralnym. Jakżeż różnią się programy obecne naszego wychowania i wykształcenia młodzieży od programów Komisji Edukacyjnej. Tam na pierwszem miejscu stawiano żądanie, by wychowanie oprzeć na moralności. Całe usiłowania zdążały do tego, by umoralnić dziecko i na gruncie dopiero moralnym budować ducha obywatelskiego. Dziś chciałoby się widzieć mądrego obywatela kraju, Polaka, ale mało się myśli o tem, aby dać mu podstawy moralne. Sądzi się, że bez moralności można wychować człowieka. Zbyt kruchy fundament. Lekceważy się najbardziej istotną podstawę wychowania. Ani w sekcji szkolnictwa średniego, ani powszechnego nie położono należytego nacisku na wychowanie moralne.

Nas, katolików, zjazd ten nauczył bardzo wiele. Zobaczyliśmy, co grozi naszemu społeczeństwu, jakie prądy nurtują w łonie nauczycielstwa. Można było obliczyć siły nasze, a teraz pozostaje wziąć się do pozytywnej, wytężonej pracy, by stanąć murem w celu obrony szkolnictwa naszego przed odchrześcijanieniem go zupełnem. Wychowanie młodzieży jest dla narodu rzeczą najważniejszą i dlatego trzeba poruszyć wszystko, by uczynić je najbardziej pożytecznem, swoistem i narodowem polskiem.

Księży na zjazd zjechało kilkudziesięciu ze wszystkich dzielnic polskich, co pochlebnie świadczy o ich udziale w pracy oświatowej.

Nie myślcie, szanowni czytelnicy, że tylko złe strony widzę w zjeździe. Za dużo włożono pracy, energji, choć może bez odpowiedniego skutku, bym lekceważył zjazd cały. Chciałbym tylko jedno zaznaczyć, że miał on raczej charakter manifestacyjny, aniżeli twórczy. Uchwały więc zjazdowe zbyt ogólne, przyjmowane w większej części jednomyślnie, często nierealne, bo w wykonaniu niemożliwe — są pewną opinją, ale prawem stać się nie mogą. Raczej należałoby powołać najwybitniejszych nauczycieli, by w ich dopiero gronie, zasięgnąwszy ich zdania, czynniki miarodajne mogły powoli budować szkolnictwo takie pod względem pedagogicznym, jakiego wymaga naród cały. Charakter zaś szkoły określi samo społeczeństwo.

Na jedno chciałbym zwrócić uwagę jeszcze.

Zjazd zbyt gorąco żądał, aby szkolnictwo w całej Polsce ujednostajnić. Rozumiem, że w pewnej mierze jest to potrzebne, ale, aby na całym obszarze Polski zapanowała jednostajność, którąby nie uwzględniała różnic kulturalnych dzielnic, ich odrębności, byłoby to rzeczą szkodliwą, a nawet niemożliwą.

Nie na tem polega doskonałość systemu szkolnego.

---

dra, dominikański, bernardyński i jezuicki [1]), w Czernihowie był kościół parafjalny i dominikański, w Perejasławlu pracowali Jezuici, również w Nowogrodzie Siewierskim, gdzie był także kościół parafjalny [2]), oprócz tego były misje w Konotopie i Starodubie, wreszcie w Smoleńsku oprócz duchownych świeckich, skupiających się około osoby administratora djec. Smoleńskiej (erygowanej w 1613 r.), były tam aż cztery placówki zakonne: dominikanie, bernardyni, misjonarze i jezuici [3]). W tych i w innych miejscowościach, o których nie mamy bliższych danych historycznych, tak księża świeccy, jak i zakonni nietylko zajmowali się pracą misyjną, ale zakładali również szkoły (Łukaszewicz op. cit.) — słowem: Kościół katolicki w połowie XVII w. miał na tych ziemiach niezwykle silny grunt pod nogami.

Niestety! przyszła burza moskiewsko-kozacka. Wojska Chowańskiego i Dołhorukiego w Smoleńszczyźnie i Białej Rusi i Chmielnickiego w Siewierskiem i na Ukrainie mordują bez litości wszystkich napotykanych „Lachów" i „Rzymian" t. j. katolików [4]), znęcają się szczególniej nad księżmi, kościoły i klasztory

[1]) Niemcewicz. Pamiętniki o dawnej Polsce, tom III, str. 242.

[2]) Cfr. Łukaszewicz. Historja Szkół, t. IV.

[3]) Cfr. Enc. podr. X. Chełmickiego, tt. 35—36,—str. 336.

[4]) „Duchownych Rzymskich ze skóry obdzierano!... Znalazłem kilka mil za Starodubem Rudnika (t. j. szlachcica zagrodowego z Rudni, przyp. autora), którego o to tylko, że się nie zaprzał być Lachem, albo co też jest u nich Katholikiem Rzymskiem, szesnaście razy przymuszono kłaść na płachę głowę... *A nie pochybno, że się to nie z jednym ani tysiącem katholików działo* (Kursyw autora)". Ks. Kulesza, op. cit. str. 269.

grabią i palą. A przyczyna tego była nietylko natury socjalnej, ale również religijnej—nienawiść ku szerzącemu się z powodzeniem katolicyzmowi, rozdmuchiwana przez prawosławne duchowieństwo. Wprawdzie sama Moskwa i kozacy jako przyczynę buntów „kładli arendarstwa żydowskie y uciemiężenie od szlachty. Ale w rzeczy samej najbardziej się jadowitość schizmatycka wydawała. Schizmatykom lubo szlacheckiego byli stanu, nie przykrzano się; Rzymianów y złączonych z niemi lubo w nieszlacheckim stanie z urąganiem zabijano" [1]). Z tych to względów słabsi pod względem wiary z pośród ziemian tych ziem dla ocalenia swej majętności przechodzili na schizmę i pociągali za sobą poddanych katolików [2]). A jednak tego rodzaju objawy zaprzaństwa jak również wyżej wymienione fakty tępienia katolików nie można nazwać głównemi przyczynami całkowitego upadku Kościoła katolickiego na omawianych ziemiach. Wszak po wojnie można było odpowiedniemi prawami tak zagwarantować rozwój narodowy i zaspokojenie potrzeb religijnych zamieszkałej tam ludności polskiej, że nietylko dałoby się naprawić luki i szczerby, ale jeszcze potężniej utwierdzić żywioł polsko-katolicki. Wiemy, że tego nie zrobiono, a główna tego przyczyna leży w haniebnym traktacie Grzymułtowskiego. Traktatem tym Polska traciła nietylko obszerne ziemie Smoleńską i Czernihowską, ale ponadto pozbyła się ona zu-

[1]) Kulesza op. c. str. 269.

[2]) „Na Siewierzu Rudnią pewną nawiedzając, dowiedziałem się, iż Pan jey z młodu był Katholikiem, pod czas kozaczyzny zaś został dla dóbr schizmatykiem". Kulesza op. c. str. 999.

Wreszcie nie łudźmy się i nie ulegajmy psychozie dzisiejszej i całego szkolnictwa nie opierajmy na wyborach, boć wtedy wprowadzilibyśmy do szkolnictwa chaos nie do opisania.

Wyobraźmy sobie inspektora, którego wybiera nauczycielstwo na lat 6. Jak musiałby pobłażać i na wszystko patrzeć przez palce, aby na drugą kadencję zostać wybranym. Inaczejby przepadł. Droga to do największych nadużyć.

Kończąc to sprawozdanie pobieżne ze zjazdu, pod adresem Komitetu urządzającego zanoszę uwagę, by nie urządzało podobnych licznych zjazdów w Wielkim Tygodniu i nie prowadziło obrad jeszcze przez cały Wielki Czwartek.

Na tem traci sam zjazd i zasada katolicka.

X. A. Wyrębowski.

Zjazdy robotnicze.

Przy czytaniu „Robotnika" czy innych pism socjalistycznych nieznającemu bliżej naszych stosunków wydawaćby się mogło, że socjalistyczni robotnicy stanowią w Polsce większość, a tymczasem najzupełniej tak nie jest. Wykazały to wybory do Sejmu, wykazały też zjazdy: robotników chrześcijańskich w Krakowie dn. 30 marca r. b. i Polskich Związków Zawodowych w Warszawie dn. 14 i 15 kwietnia. Jedne i drugie organizacje, zajmujące w stosunku do komunistów front najzupełniej jednolity, liczą tysiące robotników zorganizowanych i dlatego ich zjazdy w chwili obecnej bardzo są na czasie i wielce zasługują na uwagę.

Zjazd robotników chrześcijańskich miał głównie na celu zespolenie działalności organizacyj dzielnicowych, czyli, jak powiedziano w jednej z uchwał, rozszerzenie pracy na całą Polskę. W tym celu „Polskie Zjednoczenie Zawodowe Robotników Chrześcijańskich" odpowiednio uchwaliło zmienić swój statut i obrało nowy Zarząd, obejmujący przedstawicieli Galicji, Królestwa i Śląska Cieszyńskiego.

Tym sposobem ruch chrześcijańsko - społeczny w Polsce ma trzy zasadnicze organizacje: Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich — do pracy kulturalno-oświatowej, Polskie Zjednoczenie Zawodowe Robotników Chrześcijańskich — do organizowania życia zawodowego i jako odpowiednik polityczny — Polskie Stronnictwo Demokracji Chrześcijańskiej.

Polskie Związki Zawodowe, które wywodzą swój rodowód z prac Demokracji Narodowej wśród warstw robotniczych, nie mają żadnego oparcia o specjalną organizację kulturalną i same usiłują wykonać pracę oświatową, łącząc ją w jedno z akcją zawodową i planowym ruchem współdzielczym.

Odpowiednikiem politycznym ich jest Narodowy Związek Robotniczy, mający program, zbliżony do dawnego programu P. P. S., uznający walkę klasową, ale nie bezgraniczną, i hasłu „proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się" przeciwstawiający wezwanie „proletarjusze polscy, łączcie się".

Na zjeździe Polskich Związków Zawodowych między innemi była na porządku dziennym sprawa centralizacji związków zawodowych, a że ją referował poseł Nowicki z Poznańskiego, z tego wnioskować należy, że związki Królestwa i Wielkopolski nawiązały już kontakt na podobieństwo tego, jaki powstał między związkami chrześcijańskiemi Galicji i Królestwa. Liczebnie organizacje chrześcijańskie są potężniejsze od związków zawodowych polskich, ale ustępują tym ostatnim pod względem ruchliwości. Jednocześnie jednak zaznaczyć należy, iż ta większa ruchliwość nie

---

pełnie lekkomyślnie wszelkich praw do ingerencji w rzeczach opieki nad rodakami i współwyznawcami, którzy pozostali na tych ziemiach.

Moskwa natomiast nie zapomniała wymóc na naszych dyplomatach juryzdykcji dla dyzunickiego metropolity kijowskiego na całą Ukrainę i Podole (punkt 9 traktatu). W ten sposób położone zostały podwaliny dla niebezpiecznej irredenty moskiewsko-schizmatyckiej na ziemiach polskich, co, jak wiemy, było stałym pretekstem dla Rosji do wtrącania się w nasze sprawy, a dla Katarzyny II stało się najwygodniejszym powodem do zaborów Polski [1]). Słusznie z racji tej lekkomyślności posłów naszych oburza się ks. Kulesza, który poznał à fond duszę „Moskwicina" i wiedział, że na co jak na co, ale nigdy nie można liczyć na jego dobrowolną tolerancję religijną.

Oto co on pisze: „Dla zawarcia pokoju wysadzeni byli senatorowie y szlachta Polska y Litewska, Duchownego żadnego między nimi nie było" [1]). Wśród obojętnie traktujących sprawy religijne dyplomatów naszych... „nie było tej gorliwości, aby co podobnego (t. j. zagwarantowania praw katolików) wymogli dla Biskupa Kijowskiego, Smoleńskiego lub innego Duchowieństwa, albo Missionarzów Apostolskich przynaymniej w odpadających Xięstwach Kijowskim, Czernihowskim i Smoleńskim" (l. c. str. 334). Oburza się dalej Kulesza, że również zbyt niedołężnie zawarowano duchownym obrz. rz. kat. przejście za pasportem granicy Moskiewskiej w celu apostołowania na Wschodzie. Podczas gdy dzięki bezgranicznej tolerancji religijnej Polski prawosławne duchowieństwo otrzymuje prawo przybywania do Polski „za passportem abo y bez passportu..." „Duchownym Polakom lub Litwie lub innym Rzymianom y z passportami nie masz przejścia przez Moskwę w dalszą Azyę do Chin, Japonii y Persyi" (tamże).

I na poświadczenie słuszności swych twierdzeń przytacza autor przykład współczesnego z nim misjonarza X. Terpiłowskiego, odstawionego „przez Moskwę" do granicy polskiej, i księży będących na dworze moskiewskim, wyrzuconych stamtąd przez Piotra zaraz po objęciu przezeń panowania (l. c. str. 334 i nast). Kończy wreszcie ks. Kulesza swe żale temi smutnemi, acz prawdziwemi słowy: „Inne punkta tych paktów...

[1]) „Mściło się na Rzplitej dawne zaniedbanie najprostszych wskazań polityki państwowej w dziedzinie kościelnej. Wobec Kościoła prawosławnego nie przestrzegała Polska wcale strzeżonej wszędzie zazdrośnie względem wyznań obcych zasady terytorjalizmu. Jedynie w obrębie Rzplitej prawosławne biskupstwo mohylowskie, (erygowane za Władysława IV w Mścisławiu. Przyp. autora) zwane też białoruskiem, podlegało zagranicznej władzy metropolitalnej, względnie synodowi petersburskiemu. Był to błąd fatalny z punktu państwowości polskiej nie do darowania, który w porę nienaprawiony pociągnął za sobą opłakane następstwa sprawy dyssydenckiej. Cfr. M. Loret. Kościół Katolicki a Katarzyna II. Warszawa i Kraków 1910, str. 104.

[1]) W istocie komisarzami polskimi byli czterej panowie świeccy: Krzysztof Grzymułtowski, wojew. poznański, Marcjan Ogiński, Kanclerz W. Ks. Lit., Aleksander Przyjemski, podstoli Koronny i Jan Potocki, kasztelanic Kamieniecki.

zawsze bywa kierowana na tory właściwe. Robotnicy chrześcijańscy, wiedząc z praktyk rosyjskich, do czego tak zwane „rady robotnicze“ prowadzą, widząc teror socjałów przy wyborach do nich, od samego początku wypowiedzieli się przeciw nim—N. Z. R., a co za tem idzie i Polskie Związki Zawodowe, czując tu i owdzie siłę do przeciwstawienia się terorowi socjalistów, posłały do tych rad swych delegatów. Rychło jednak przekonano się, iż tam niema co robić dla ludzi, chcących rzeczywiście dobra robotnika, bo to są ekspozytury przewrotu, w których zaciekle walczą ze sobą o władzę pepeesi z komunistami. Wobec tego zjazd Polskich Związków Zawodowych uznał za najwłaściwsze „wezwać wszystkich robotników do wycofania swych delegatów“. Jest to uchwała ważna, bo przez nią ostatecznie zostało przypieczętowane wyraźne i stanowcze podzielenie się robotników polskich na dwa nierówne odłamy: liczniejszy — narodowy i mniej liczny — międzynarodowy, pepeesowsko-komunistyczny. Wobec zamachów bolszewickich na naszym gruncie to jasne zaznaczenie linji demarkacyjnej ma swoje dodatnie ogólno-narodowe znaczenie.

Najskuteczniej walkę z komunistami i wszelakimi agentami bolszewickimi, występującymi w roli opiekunów i dobroczyńców robotniczych, mogą przeprowadzić sami robotnicy; by to zwalczanie wywrotowców wypadło pomyślnie, rzeczą konieczną jest, żeby czynniki ładu i porządku całą siłą moralną i materjalną poparły jaknajenergiczniej organizacje odłamów chrześcijańskiego i narodowego robotników polskich.

Na zjeździe Polskich Związków Zawodowych byli i przemawiali: minister ochrony pracy — Iwanowski oraz minister handlu i przemysłu—Hącia. W tej obecności ministrów na zjeździe chcemy widzieć nie tylko objaw zwykłej uprzejmości, ale dowód szukania oparcia po stronie właściwej. Prawda, że pod adresem rządu padło sporo uwag krytycznych ze strony uczestników zjazdu, lecz nie była to socjalistyczna krytyka dla krytyki, dla szerzenia agitacji wywrotowej, ale serdeczna troska szczerych Polaków, że rządowi brak siły i stanowczości, że—jak się obrazowo wyrażano—przypomina maszynę źle zmontowaną.

Obydwa zjazdy nam wykazały, że nie brak robotników uczciwych w Polsce, którzy to wadliwe zmontowanie machiny państwowej mogą należycie poprawić, nie należy więc z tą poprawą zwlekać.

A. L. S.

Komedjanci.

Ukazała się odezwa polskiej partji socjalistycznej, wzywająca do powszechnego bezrobocia w dniu 1-go maja, w którym to dniu „burżuazja musi poczuć... że dni jej panowania są policzone“.

Bo ta burżuazja polska jest najnikczemniejsza pod słońcem: „niszczy wolność“ robotniczą, „tamuje wszelkie reformy społeczne“, zaprowadza „najsromotniejsze policyjne rządy“, dąży do imperjalizmu, hołduje „grabieżczemu i zaborczemu militaryzmowi“.

A tymczasem „rewolucja wre wokoło. Rewolucja dojrzewa u nas w Polsce“. „Niech żyje władza klasy robotniczej miast i wsi!“

P. P. S. wydaje taką odezwę, torującą drogę bolszewickiemu zamachowi na Polskę—a jednocześnie stara się podtrzymać pozory, że między nią a komunistami niema nic wspólnego.

Może być, że są tacy naiwni członkowie P. P. S., którym się wydaje, iż oni coś decydują, czemuś się przeciwstawiają, prowadzą samodzielną politykę—ale

---

uważający postrzec może, że nie mamy gorliwości o cześć Boską y Kościół prawy. Dlatego się podobno nachyliło bardzo ku wiecznej awulsyi trzech Xięstw *niegdyś katholickich* (kursyw autora): Smoleńskiego, Czernihowskiego y Kijowskiego“ (l. c. str. 334). — Sprawdziły się jego słowa i nastąpiła „wieczna awulsya“ tych ziem, a z nią zanik powolny katolicyzmu.

Pewnie, że znacznie przyczyniły się do tego mordy i gwałty hord moskiewskich i kozackich w połowie XVII stulecia i później, również renegacje o podłożu oportunistycznem, głównej jednak przyczyny trzeba szukać w traktacie 1686 roku, Grzymułtowski bowiem i towarzysze nic nie zrobili, by choć najdrobniejszą nicią związać rodaków z odpadających ziem z pniem macierzystym. Cóż więc dziwnego, że rozrzucona na wielkich obszarach ludność polska nie mając od Ojczyzny żadnej pomocy powoli wynaradawiała się i jednocześnie, wobec braku duchownych katolickich i prześladowania, doznawanego ze strony prawosławnych, a przytem przez małżeństwa mieszane—wyzbyła się swej wiary? Stało się to przedewszystkiem ze szlachtą zagrodową zdawna tam osiadłą, której potomkowie prawosławni i dziś jeszcze szczycą się dyplomami Zygmunta III lub Władysława IV, nadawanymi ich dziadom (wiem o takich faktach w Smoleńszczyźnie). Temu wynarodowieniu uległa również szlachta karmazynowa, powiększając nieraz kadry najzacieklejszych wrogów polskości (jak Paskiewicz z ziemi Siewierskiej, a Janowski-Gogol z Czernihowskiej). Słowem w sto lat od podpisania traktatu — w chwili pierwszego rozbioru Polski — niema ani śladu katolicyzmu w tych ziemiach, gdzie on tak bujnie zakwitł na początku XVII stulecia [1]).

Chwila obecna jest szczególnie podobną do opisywanej z drugiej połowy XVII st. Jak wówczas woj. Czernihowskie i Smoleńskie, tak samo dziś bezpośrednio z niemi sąsiadujące ziemie: Mińska, Mohylowska, Wileńska i Ukraina doznają gwałtów i pohańbienia od potomków hord Chowańskiego i tłuszczy kozackiej. Jak wówczas, tak i dziś wyjdzie na cało „schizmatyk moskwicin“, a Polaków „lubo w nieszlacheckim stanie“ wskutek „jadowitości schizmatyckiej“ jak mordowano przed dwoma z połową wiekami, tak i dziś mordują.

Opisy gazet o mordach bolszewickich, dokonywanych nietylko na inteligencji i ziemiaństwie polskiem, ale i nad księżmi naszymi i ludem polskim na Białej Rusi i Ukrainie, jakżeż żywo przypominają nam to, czego świadkiem był przytaczany przez nas ks. Kulesza z XVII w.? Wreszcie jak wówczas grożąca „wieczna awulsya“ woj. Smoleńskiego, Czernihowskiego i m.

---

[1]) Wprawdzie nuncjusz papieski Garampi notuje w 1773 r. w djec. Smoleńskiej 7,000 katolików (oprócz dzieci), nie zapominajmy jednak, że mowa tam jest o 4 parafjach djec. Smoleńskiej (Wieliż, Newel, Siebież, Oświeja), które znajdowały się na terenie powiatów Newelskiego i Siebieskiego. Powiaty te, należące do Woj. Smoleńskiego, zostały na mocy traktatu Grzymułtowskiego przy Polsce, zagarnęła je Rosja w 1772 r. Jednocześnie Garampi notuje, że w tych dwóch powiatach było około 100 tysięcy unitów. Katarzyna postarała się przeprowadzić ich na prawosławie. Cfr. Nunziature Polonia—Russia vol. 136, f. 132, cytowana przez p. Loreta w przytaczanem wyżej dziele na stron. 199.

ci, co są u steru partji wiedzą dobrze, że wszystkiemi odcieniami socjalizmu rządzą żydzi. Nie przeszkadza to im jednak grać komedji opozycji w stosunku do komunistów, półgębkiem potępiać bolszewizm, nawet „walczyć“ z komunistami o władzę w radach robotniczych.

Wszystko to jest szopkarstwem.

Jeżeli pejsaci wielkorządcy socjalizmu w Polsce pozwalają swoim Wojtkom, Ignacom czy Norbertom na jakieś samodzielne posunięcia czy „zajmowanie stanowisk“, to o tyle tylko, o ile to jest potrzebne do bałamucenia opinji publicznej.

Bolszewizm zdyskredytowany, socjaldemokracja również—więc dalej „stary sztuk na nowy manier“ i tworzy się komunistów. Okazuje się, że i komunizm zbyt jeszcze jest rażący dla wielu, więc się w dalszym ciągu utrzymuje oddzielnie P. P. S., która głośno swarzy się z komunistami, a po cichu toruje im drogę.

Co kto śmie powiedzieć przeciw P. P. S.? Przecież jest bardzo patrjotyczna: woła co pięć minut—Niech żyje niepodległość! A że jeszcze częściej, nie czekając aż się owa niepodległość ustali, wrzeszczy zaciekle: niech żyje rewolucja!—to, to sprawa zakulisowa i... kwita.

Wogóle kulisy naszych partji socjalistycznych bardzo są... charakterystyczne. Drobny ich rąbek odsłania się wobec akcji bezrobociowej na 1-go maja. Może przy sposobności uda się nam nieco więcej tych kulis odsłonić.

Emil Nieborski.



Wojna i polityka.

Przeżywamy chwile rozstrzygające dla przyszłości świata całego. Zbliża się punkt kulminacyjny konferencji paryskiej: d. 28 bm. mają przybyć do Wersalu pełnomocnicy niemieccy, by dnia następnego otrzymać z rąk zwycięzców warunki pokojowe. Nie łatwo przyszło aljantom ich ułożenie, w ostatniej nawet chwili, kiedy, jak się zdawało, wszystkie tarcia zostały usunięte, a przynajmniej załagodzone, delegaci włoscy zagrozili opuszczeniem konferencji z powodu oporu prez. Wilsona przeciwko przyznaniu im portu Fiume (Rjeki).

Ale nie tylko rozbieżność interesów poszczególnych państw entente'y nadaje chwili obecnej piętno szczególnej doniosłości. O wiele ważniejszą jest postawa Niemiec, które pomimo zburzenia cesarstwa Hohenzollernów, nie mogą pozbyć się ducha zaborczości tych ostatnich i w dalszym ciągu uważają za swe prawe dziedzictwo wszystko, co przemoc pruska zagarnąć potrafiła w ciągu stuleci — szczególnie kosztem Polaków.

I dlatego Niemcy nie mogą pogodzić się dotąd z myślą o utracie Poznańskiego, a zwłaszcza Śląska Górnego i Prus Królewskich z Gdańskiem.

Co do tego ostatniego, zarówno dr. Dłuski, jak i pp. Rey i Tetmajer, którzy dopiero co powrócili z Paryża i przywieźli ostatnie informacje o stanie sprawy polskiej na konferencji, udzielili prasie na podstawie słów Paderewskiego wiadomości bardziej uspokajających. A więc Gdańsk, według ostatniego projektu kierowniczych mężów entente'y, miałby otrzymać dosyć szeroki samorząd wewnętrzny, Polska zaś pozyskałaby w stosunku do niego prawa zwierzchnicze.

Kijowa stała się bolesnym dla Polski i katolicyzmu faktem, tak samo i dziś trzeba się liczyć z poważnemi danemi, że najbardziej wschodnie ziemie Rzeczypospolitej Polskiej z przed 1772 roku nie wejdą w skład Polski odrodzonej. A przecież mieszkają tam setki tysięcy rodaków naszych, gorąco przywiązanych do Ojczyzny i Kościoła!

Jeśli zatem niemożliwem miałoby być złączenie tych ziem z Polską, wtedy dyplomacja nasza winna wymóc od wschodnich sąsiadów, przy pomocy wielkich Państw zaprzyjaźnionych, cały szereg praw, zapewniających mieszkańcom tych ziem bezwzględną swobodę rozwoju narodowego i religijnego. Należałoby przytem na prawa Kościoła katolickiego szczególniejszy położyć nacisk, gdyż doświadczenie, zaczerpnięte z naszych dziejów porozbiorowych, uczy nas, że katolicyzm na tych ziemiach jest głównym wykładnikiem polskości a zarazem najlepszym środkiem, ją rozwiązującym; gdyby nie on, cały lud Rusi Białej i Południowej, stawszy się prawosławnym, byłby ruskim, jak to miało miejsce ze Smoleńszczyzną i Czernihowszczyzną i w takim razie nie upominalibyśmy się dziś o wschodnie ziemie Rzplitej.

Skwapliwie odsłoniłem smutną kartę z dziejów naszych, by przez porównanie z chwilą obecną przypomnieć komu należy naukę historji, tej prawdziwej mistrzyni życia—„magistrae vitae“, jak dokładnie, jak drobiazgowo wprost trzeba określić prawa wiary katolickiej i polskości na tych ziemiach wschodnich, które ewentualnie nie byłyby włączone do Polski, by nie powtórzyły się skutki błędów dyplomatów naszych z 1686 r.

My napewno damy swobodę zupełną tym dyzunitom, którzy znajdą się w granicach Rzeczypospolitej, tymczasem, jeśli nie wystaramy się dla rodaków naszych praw autonomicznych, zagwarantowanych przez mocarstwa z nami zaprzyjaźnione, wówczas potomkowie barbarzyńskich Chowańskich, Piotrów Wielkich, Suworowów, Chmielnickich tak długo gotowi będą dławić element polsko-katolicki, ażby go na omawianych ziemiach zupełnie zniszczyli.

Tylko, że taki nowy błąd naszej dyplomacji, popełniony w stosunku do członków wielkiej Ojczyzny Polskiej, którzy z dziada pradziada są męczennikami kresów naszych, byłby stokroć fatalniejszym w skutkach tak dla narodu jak i dla Kościoła.

Absit omen!





Szczegółów nie warto dociekać, za kilka dni staną się one powszechnie wiadome, raczej już teraz łącznie z ententeą myśleć nam wypada o zabezpieczeniu się na wypadek, o ile Niemcy zaryzykują odmówić podpisania pokoju na przedłożonych im warunkach.

Pamiętajmy, że w Niemczech otwarcie jest propagowane pogotowie zbrojne w stosunku do Polaków, że Hindenburg koncentruje armje nad naszemi granicami zachodniemi, że przeto i u nas poczucie niebezpieczeństwa wzmóc powinno stokrotnie energję i ukrócić wewnętrzne spory i walki. Od naszej postawy i od stopnia naszej siły zależy, czy Niemcy odważą się odrzucić warunki, jakie im co do granicy wschodniej państwa niemieckiego podyktuje entente'a.

Że jednak Niemcy nie chcą przeciągać struny, tego najlepiej dowodzi incydent z wydelegowaniem pełnomocników na konferencję. Na pierwsze wezwanie entente'y Niemcy odpowiedzieli wymienieniem figur drugorzędnych... tylko dla odbioru preliminarzy, ale pod wpływem energicznej noty aljantów odrazu zmiękli i wysłać mają delegatów, upełnomocnionych do podpisania traktatu pokojowego. Coprawda, zaznaczyli przytem, iż przypuszczają możliwość w takim razie uprzednich rokowań, ale według ostatnio nadeszłych wiadomości, co najwyżej kwestje finansowe i odszkodowań będą mogły podlegać pewnej dyskusji, w żadnym zaś razie kwestje terytorjalne.

Na wypadek odrzucenia przez Niemców warunków pokojowych, niepodzielny głos będzie miał znowu marszałek Foch, który już teraz obmyśla środki zmuszenia Niemiec do posłuchu.

Marszałek Foch potrafił jednak zdziałać to, że wojska Hallera w szybkiem tempie przybywają wreszcie do kraju, wioząc ze sobą brakujące nam dotąd materjały wojenne.

Armja ta nadciąga w sam czas, kiedy właśnie rozpoczęły się większe operacje wojenne zarówno na froncie bolszewickim, jak i ukraińskim.

Radością wielką przejęły nas wszystkich zwycięstwa wojsk polskich na Litwie: przyniosły one wreszcie upragnione wyzwolenie z niewoli bolszewickiej polskiemu Wilnu, temu miastu męczeńskiemu, które od rozbiorów zawsze było na najsroższe prześladowania za swą polskość wystawione. W rękach polskich są już również strony rodzinne naszego wieszcza narodowego, Adama Mickiewicza; jeszcze przedtem zdobyta została po zaciętej walce, w której obok bolszewików przyjmowała udział cywilna ludność żydowska — Lida. Po czterodniowych zapasach zdobyte zostały również Baranowicze, nadzwyczaj ważny punkt kolejowy i strategiczny.

Czerwone zastępy Trockiego pozostawiły w rękach polskich bogaty materjał wojenny, co jest dla nas też nabytkiem nie do pogardzenia.

Wogóle pomimo zajęcia Ukrainy, a nawet podobno przekroczenia przez ukraińskie wojska sowieckie granicy galicyjskiej, sytuacja bolszewików rosyjskich jest groźna wobec ofensywy „dyktatora" Kołczaka, który osiąga duże sukcesy na froncie uralskim. Podobno sam Lenin nawet zaczyna uświadamiać sobie zupełne bankructwo swej komunistyczno-dyktatorskiej utopji. Pom. inn. centralne władze sowieckie były, przed naszą ofensywą przynajmniej, skłonne do zawarcia pokoju z Polską. Nie trzeba chyba dodawać, że to dziwnie pokojowe usposobienie po tak niedawnych wojowniczych zapowiedziach, tłómaczy się tylko chęcią skoncentrowania wszystkich sił przeciwko Kołczakowi, by po jego pokonaniu tem snadniej urzeczywistnić swe zamiary co do Polski. Na te słodkie słówka nikt się złapać nie da. Przykład traktatu brzeskiego i następnych knowań przewrotowych w Berlinie pod przykrywką ambasady bolszewickiej zbyt świeżo jest w pamięci wszystkich.

Nasze operacje wojskowe na Litwie uwypuklają jeszcze bardziej tę niesłychaną anormalność, jaką jest dalsze okupowanie przez Niemców Suwalszczyzny i Kowieńszczyzny. (Grodno podobno w końcu b. m. ma być przez nich ewakuowane wreszcie).

Dotychczas Niemcy pozorowali swą okupację tamtych miejscowości koniecznością obrony ich przed bolszewikami, co im zresztą nie przeszkadzało zaopatrywać bolszewików, za grube pieniądze oczywiście, w najrozmaitsze materjały wojenne. Obecnie, gdy wskutek ostatnich sukcesów oręża polskiego wyrasta coraz silniejsza ściana polska pomiędzy wojskiem sowieckiem a Niemcami, w imię bezpieczeństwa armji polskiej i zabezpieczenia jej tyłów należy żądać niezwłocznego cofnięcia się wojsk niemieckich do granic z r. 1914 conajmniej. Nie wątpimy, że gen. Henrys tę sprawę zechce i potrafi odpowiednio załatwić. Czas po temu najwyższy, bo przecież są takie zakątki na Litwie językowej, gdzie ludzie dotąd nie wierzą w porażkę Niemców, widząc ich zachowanie się, odpowiadające raczej zwycięzcom.

Należy przypuszczać, że ustąpienia wojsk niemieckich nie przeżyje t. zw. rząd litewski w Kownie, opierający się na bagnetach okupantów. Delegat tego rządu, p. Szaulis, przybył obecnie do Warszawy, ale wątpić należy, czy on, który był razem z p. Smetoną filarem germanofilskiej polityki stworzonej przez władze okupacyjne Taryby litewskiej, będzie mógł dogadać się tutaj z kimkolwiek. Abominacja do takich działaczy litewskich zbyt jest silna we wszystkich obozach polskich.

Tupet nie opuszcza zresztą przedstawicieli „rządu litewskiego" i w Paryżu: domagali się oni podobno na rzecz Litwy Wilna, Grodna, części Mińszczyzny, ba, nawet... Suwałk.

Sukcesom naszym na froncie bolszewickim, które oczywiście zmieniają zupełnie układ sił na Litwie, towarzyszą jednak pewne niepożądane objawy, o których nadmienimy tutaj tylko ogólnie, gdyż wypadnie nam kiedyindziej zająć się niemi obszerniej.

Otóż, Wodzowi Naczelnemu w jego wyprawie na Litwę towarzyszy jednostronnie dobrane grono osób, które, o ile można sądzić z głosów zbliżonej doń prasy, jak „Gazety Polskiej" i „Robotnika", chce wcielać w życie koncepcję utworzenia z ziem dawnego W. Ks. Litewskiego, czy też ich części, odrębnego państwa litewsko-białorusko-polskiego, połączonego federacyjnie z państwem polskiem.

Koncepcja ta pomija zupełnie wolę i pragnienia olbrzymiej części ludności w polskiej części Litwy, która jeszcze za czasów okupacji w dziesiątkach tysięcy adresów do Rady Regencyjnej zwracała się o przyłączenie tych ziem ku Polsce.

Zwolennicy Wielkiej Litwy zapominają również, że ich projekt nie zadowoli nacjonalistów litewskich, których apetyty sięgają, coprawda, poza granice Litwy językowej, ale aby co się da strawić. Wilno jest im potrzebne nie jako symbol państwowy, lecz narodowy. Aby pozyskać całkowicie działaczów litewskich, należałoby chyba wogóle zrezygnować z polskiego stanu posiadania na Litwie.

Czy więc jest rzeczą właściwą koncepcję Wielkiej Litwy forsować ukradkiem, korzystając ze specjalnie sprzyjających okoliczności, wbrew stanowisku Sejmu i podczas przerwy w jego pracach... *mw.*

Zagadnienia gospodarcze powojenne.

Pod powyższym tytułem zebrał i ogłosił drukiem b. francuski minister handlu i kolonji, zarazem prezes związku przemysłowców i kupców francuskich, André Lebon, szereg prelekcyj publicznych, wygłoszonych w ciągu lat 1915 — 1917 w Paryżu, poświęconych kwestjom ekonomicznym, wynikłym w związku z wojną *). Wiele z kwestyj poruszonych przez Lebona posiada znaczenie ogólniejsze, i nietylko dla stosunków francuskich lecz i dla naszych przydać się może, jako wskazówka na przyszłość i materjał do dyskusji.

Tematami prelekcyj były zagadnienia następujące: 1) Sprawy gospodarcze nazajutrz po wojnie. 2) Mięso mrożone a odżywianie we Francji. 3) Administracja państwowa a sprawy przemysłu i handlu. 4) Wojna a umowy. 5) Jutrzejsza wojna gospodarcza. 6) Wielka Brytanja w życiu gospodarczem dziś i jutro. 7) Siła robocza po wojnie. 8) Obowiązki chwili obecnej. 9) Pobudki wojny i cele pokoju.

Z powyższych zagadnień streszczę pokrótce w niniejszym artykule te, które dla stosunków naszych posiadać mogą pewien interes, nie mogę jednak powstrzymać się od uwagi ogólnej, którą nasuwa każda karta książki Lebona, czy dotyczy ona roku 1915 czy 1917, czy pisana jest w momencie zwycięstwa czy niepowodzenia wojennego, mianowicie z każdej karty książki tej wieje niczem niezachwiana wiara w zwycięstwo ostateczne Francji i jej sprzymierzeńców, widać, że po tamtej stronie Renu nie dopuszczano ani na chwilę myśli o przegranej.

W pierwszej prelekcji porusza Lebon sprawę odszkodowań wojennych i sprawę likwidacji moratorjum. Sprawa odszkodowań posiada, jak wiadomo, niezależnie od swej strony międzynarodowej — uzyskania wynagrodzenia wojennego od wroga, i stronę wewnętrzną — mianowicie ustalenie zasad repartycji odszkodowań indywidualnych i ustosunkowanie akcji odszkodowaniowej do akcji odbudowy. W sprawie odszkodowań, rzuca Lebon myśl stworzenia Centralnej Kasy, która, zasilana rok rocznie przez fundusze państwowe i z odszkodowania wojennego od wroga, będzie posiadała prawo emitowania obligacji, celem szybszego i łatwiejszego przeprowadzenia operacji odszkodowania i odbudowy. Zwraca przytem autor uwagę na konieczność zajęcia się zawczasu sprawą przygotowania zapasów surowców, maszyn i inwentarza. Jak wiadomo, sprawa ustawy odszkodowaniowej nie jest jeszcze po dziś dzień we Francji rozstrzygnięta — projekt ustawy dyskutowany jest w parlamencie.

U nas również należałoby pomyśleć o tej kwestji.

Kwestję moratorjum rozważa autor w związku z kwestją oceny ważności umów również i w prelekcji czwartej. Co się tyczy moratorjum wekslowego, to przestrzega przed nagłą likwidacją, natychmiast po zawarciu pokoju i proponuje, aby wzorem prawodawstwa z r. 1870—1871 — przedłużyć termin płatności na szereg miesięcy po wojnie (w r. 1871 odroczono terminy na czas równy trwaniu wojny, to jest jeszcze na 7 miesięcy). W nader ważnej kwestji mieszkaniowej, co do której istniało we Francji specjalne moratorjum, proponuje Lebon, aby poszczególne spory rozstrzygać z całą oględnością, bacząc na interes stron obu, i żeby spory te oddane były do decyzji nie sądom zwykłym, lecz specjalnym urzędom pojednawczym. Zwraca przytem uwagę na lukę w prawie moratoryjnem, które nie przewiduje procentu dla właściciela nieruchomości od należnych mu sum zaległych i powiada, że ustanowienie takiego 5% odsetka powstrzymałoby wielu niesumiennych lokatorów od zalegania w komornem.

Przy rozpatrywaniu ważności umów, zawartych przed wojną, a nie wykonanych wskutek wojny, przestrzega Lebon przed katastrofalnymi skutkami ekonomicznymi, gdyby wierzyciel żądał obecnie wykonania umowy według warunków kontraktu; w tekście prelekcji spotykamy jaskrawe przykłady, jaką ruinę dla szeregu osób spowodowałoby żądane wykonanie. Naprzykład spółka, eksploatująca nieruchomości miejskie, której przed wojną ogłoszono upadłość, lecz która na mocy układu pojednawczego powoli powróciła do normalnych warunków finansowych. Z chwilą wybuchu wojny, mobilizacji i moratorjum mieszkaniowego, dochody spółki zmniejszyły się i nie jest ona w stanie dopełnić warunków układu pojednawczego. Czy jednak należy wobec tego ponownie ogłosić jej upadłość, czy też przystąpić do delikatnego rozwikłania przez specjalne komisje pojednawcze tego trudnego, wynikłego z okoliczności wojennych, zagadnienia prawnego. Jeżeli kwestje wykonalności umów przyjdą przed sądy, to będą musiały się one zastanowić nad oceną wojny jako zjawiska siły wyższej, wpływającej na moc umów. Przepisy kodeksu Napoleona są we Francji i u nas zarówno obowiązujące, a przeto nie bez znaczenia będzie powtórzyć za Lebonem, że we Francji interpretacja siły wyższej jest różną, zależnie od tego, czy wyrokują sądy zwykłe czy sądy administracyjne. Sądy zwykłe, opierając się na art. 1148 kod. cyw., uznają siłę wyższą tylko w tym wypadku, gdy wykonanie było bezwzględnie i ostatecznie niemożliwem, nie uznając za wypadki siły wyższej okoliczności, gdy wykonanie było wprawdzie możliwem, ale wobec zmienionych warunków stawało się tak kosztownem, że zrujnowałoby kontrahenta. Sądy administracyjne, przeciwnie, opierając się na art. 1156 kod. cyw. uważają powyższą okoliczność za wypadek siły wyższej — doszukując się w umowie przedewszystkiem wspólnych zamiarów stron obu; stoją one na tem stanowisku, iż należy przy wyrokowaniu brać pod uwagę te wszystkie okoliczności, które z natury rzeczy nie mogły być znane stronom, jako wykraczające poza granice przewidywania i doświadczenia ludzkiego. Nie potrzebuję długo tłomaczyć, iż Lebon wypowiada się gorąco za interpretacją sądów administracyjnych, zwłaszcza z racji umów, o których mowa, i żąda interwencji ustawodawczej co do właściwej i sprawiedliwej wykładni art. 1148 i 1156 kod. cyw.

W prelekcji piątej, dotyczącej walki ekonomicznej dnia jutrzejszego, przypomina autor starą maksymę burżuazji francuskiej: „Pracujcie! Oszczędzajcie! Bogaćcie się!", wskazuje jednak jednocześnie, że gospodarstwo społeczne powojenne winno być oparte na szerszych, światowych podłożach. Z tej racji dotyka Lebon zagadnienia przyczyn ekonomicznych wojny i wykazuje, jak niemcy systematycznie rzucili się od samego początku działań wojennych na okręgi, gdzie znajdowały się bogactwa naturalne Francji (węgiel, żelazo), i gdzie zogniskowany był jej przemysł. Gdyby nie pomoc aljantów, Francja, pozbawiona powyższych okręgów, nie byłaby w stanie prowadzić wojny. W tem miejscu autor przypomina, że w Europie jest tylko jedno jedyne terytorjum, jakby przez samą naturę przeznaczone dla rozwoju na niem przemysłu, na któ-

*) André Lebon. Problèmes économiques nés de la guerre. Paris 1918.

rem jednocześnie znajduje się węgiel i żelazo. Terenem tym jest kraj, położony pomiędzy Renem i Mozą. Otóż w roku 1795, na mocy traktatu w Bazylei, cały ten okręg należał do Francji, w r. 1815 połowa okręgu węglowego została odebrana Francji, w r. 1871 z utratą Alzacji i Lotaryngji reszta wegla i połowa żelaza odpadła do Niemiec, w wojnie obecnej dążyli niemcy do zagarnięcia reszty żelaza, przez przyłączenie do Niemiec pozostałej przy Francji części Lotaryngji. Na szczęście wyniki wojny nie odpowiedziały pożądaniom i nietylko całe żelazo i połowa węgla wraca do Francji, ale ta ostatnia żąda dla siebie i dalszych terenów węglowych, mianowicie tak często dziś cytowanego zagłębia Saary. Co się tyczy wewnętrznej konsolidacji handlu, to autor zaleca działanie skoordynowane, wspólne, celem wypierania produktów niemieckich z rynków świata. Lebon jest przeciwnikiem interwencji państwa w sprawach przemysłu i handlu, państwo jako przedsiębiorca jest mało obrotne i nie wytrzymuje konkurencji z inicjatywą prywatną. Chodzi jednak o to, aby inicjatywa prywatna nie rozpraszała się na szereg drobnych poczynań, lecz występowała zwarto, z akcją zbiorową, zwłaszcza w warunkach powojennych, gdzie trzeba będzie jaknajszybciej przywrócić do życia zamarłe warsztaty pracy.

Z ożywieniem tych warsztatów pracy łączy się sprawa robotnika, której poświęcona została prelekcja siódma. Sprawa ta posiada trzy oblicza — kwestję pracy zdemobilizowanego żołnierza, kwestję pracy kobiet i kwestję robotnika zagranicznego. W kwestji pierwszej wypowiada się Lebon za przyznaniem zdemobilizowanemu żołnierzowi wynagrodzenia wysokiego, takiego aby nie czuł się on upośledzonym w stosunku do zarobków, jakie podczas wojny zdobyła sobie jego żona i dzieci, zastępując go w fabryce i warsztacie. Wysokie zarobki robotnika powinny iść jednak w parze z poczuciem obowiązku, z sumienną pracą i powstrzymaniem się od strajków, tak aby produkcja ekonomiczna jaknajszybciej mogła powrócić do normalnych warunków i wyników. Co się tyczy pracy kobiet, to autor przyznaje, iż wojna wyleczyła nas z przesądu, iż praca kobiet nie może być z pożytkiem zastosowana w przemyśle, handlu i rolnictwie. We wszystkich tych gałęziach udział kobiety po wojnie trwać będzie nadal i, być może, stale. W jednej z fabryk w Lyonie, w listopadzie roku 1914, pracowało około 3 do 4% kobiet, stopniowo fabryka doszła do zatrudniania 50% kobiet, co na 15000 robotników fabryki stanowiło więcej niż 7000 kobiet. Zarabiały one dziennie do 4 do 14 franków. Autor nie zamyka jednak oczu i na ujemne strony pracy kobiet—mianowicie na znaczniejsze trudności psychologiczne w kierowaniu zakładem, zatrudniającym kobiety, dalej na niebezpieczeństwo skarłowacenia przyszłych pokoleń przez stałe zatrudnienie kobiety-matki, gdyż nie wszystkie gałęzie produkcji mogą zapewnić kobietom pracę stosunkowo wygodną i niedługą, podzieloną na kilka zmian. Kwestję trzecią, zagranicznego robotnika, pomijam jako dla stosunków polskich nie posiadającą najmniejszego znaczenia.

Wreszcie w prelekcji ósmej przestrzega Lebon przed zbytnim optymizmem, gdyż nawet i po zawarciu pokoju trzeba będzie wielkich wysiłków pracy, aby stworzyć warunki dobrobytu, po wojnie podatki wzrosną, dochody będą mniejsze i nastąpi wogóle zubożenie wszystkich krajów, które brały udział w wojnie. Najważniejszem lekarstwem na te wszystkie niedomagania będzie intensywna i świadoma celu praca wszystkich obywateli.



Leon Babiński.

POKŁOSIE.

Przykry zgrzyt — Zwycięska Golgota. — Czego oczekujemy od armji Hallera. — Gdzie szukać „burzycieli". — Nowe troski. — Cudzego nie chcemy, swego nie damy. — Rząd kowieński i jego delegat. — Pomysły p. Hołówki. — P. P. S. wobec Rubikonu. — Kastowość ludowców.

Wszystkie pisma, niezależnie od ich stanowiska ideowego i stosunku wewnętrznego do chrystjanizmu, uważają jednak, ulegając widocznie tradycji, no i względom na czytelników, — za swój święty obowiązek zamieszczenie artykułu okolicznościowego z powodu — tak uroczystego dla wyznawców Chrystusa — dnia Zmartwychwstania. Nie wszyscy jednak autorzy tych przygodnych wywodów utrzymać się umieją przynajmniej w ramach poprawnych komunałów, jeśli brak im tego wewnętrznego przekonania, jakie jedynie ze zwykłych w takich razach frazesów, ubranych w mniej lub więcej ładną szatę zewnętrzną, może wykrzesać nutę szczerego uczucia. Niektórzy potrafią przy tej nawet okazji zgrzytem przeraźliwym podkreślić swe partyjne stanowisko.

Dobitny tego dowód złożył pan Z. Kisielewski w numerze świątecznym „Robotnika".

Ten apostoł obozu, na którego sztandarze hasło nienawiści i walki klasowej widnieje, a który fałszem najczęściej wojuje, ośmiela się pisać:

> „Aliści głupi byli arcykapłani i żołnierze, sądząc, że prawdę i miłość można pogrzebać. Prawda i miłość wtedy i dzisiaj jest i była nieśmiertelna. Choćby ją żołnierz i ksiądz zakopał pod ziemię, a grób jej otoczył żelaznym kordonem straży, choćby państwo i kościół wynajęło tysiące i miljony siepaczy, ona zmartwychwstanie i wzniesie ponad cierpiącą ludzkością swe promieniste skrzydła, malowane w tęczowe kolory wiary w trzecie królestwo, czyli w odmianę złej doli w szczęście.
>
> Przeto Chrystus zmartwychwstał.
>
> Alleluja!"

Bluźnierstwem jest używać imienia Chrystusa dla napaści na Kościół Chrystusowy i należałoby, panowie luminarze z organu P.P.S., przynajmniej w tym dniu triumfu i radości dla chrześcijaństwa, umieć zachować dyskretne milczenie, jeżeli nawet w takiej chwili stać Was tylko na płaskie antyklerykalne wycieczki.

Głęboko natomiast przemyślany artykuł pod tytułem „Zwycięstwo Golgoty", pióra p. Z. Wasilewskiego, ukazał się d. 19 bm. na łamach „Gazety Warszawskiej". Oto kilka myśli z niego:

> „symbol krzyża na wzgórzu śmierci jawi się nam z przedziwną jasnością w święto Wielkanocy. Krzyż—znak wiary w życie niegasnące, zwycięzca śmierci: wiary, pokonywującej cierpienia i rozkosze samolubne, uświęcającej mus życia obowiązkiem moralnym...
>
> Człowiek na pewnym stopniu rozwoju duchowego dochodzi do rozdroża krzyżowego, które musi pracą wewnętrzną syntetyzować, aby mieć drogę życia, sumieniem określoną i prawem środowiska...
>
> Praca jest zwrotnicą, regulującą drogę życia. Nazywamy nią wszelki wysiłek duchem uświęcony, to, co nią już jest w duchu ludzkim, zanim owoc widomy wyda. Praca jest pewnem przełamaniem się człowieka w woli z kierunku osobistego na społeczny. Pracą jest już ten krzyż wewnętrzny, nastawiający człowieka na drogę twórczą życia..
>
> Droga ludzka wiedzie pod górę i jest krzyżowa. Każda jest krzyżowa.
>
> Krzyż w polu pracy jest herbem obywatelskim. Naród prowadzony przez taką szlachtę, do celu w swej wędrówce dochodzi niezawodnie. Jego droga krzyżowa - to droga pracy, będącej zawsze walką z przeszkodami".

Pokonanie piętrzących się przeszkód daje narodowi podczas jego krzyżowej wędrówki chwile szczęś-

cia i radości. Taką podniosłą chwilę zgotowała nam w tym roku Opatrzność na Święta Wielkanocne.

Oto po długich, długich miesiącach oczekiwania, po zwalczeniu wielu, wielu przeszkód, przybył wreszcie do kraju ojczystego jen. Haller, i przybywają jego dzielne zastępy, entuzjastycznie spotykane przez całe społeczeństwo.

Jakie nadzieje zaś wywołuje przybycie armji Hallera, na to pomiędzy innemi odpowiada „Kurjer Polski":

„Z chwilą pojawienia się na froncie armji Hallera przechodzi do przeszłości moment militarnej słabości Polski, tak fatalnej, tak groźnej niejednokrotnie w swych skutkach na froncie lwowskim. Poczynamy wreszcie rozporządzać siłą kadrowego żołnierza w przybliżeniu bodaj odpowiadającą naszemu znaczeniu, jako państwa, naszym doraźnym potrzebom. Nie jest to może siła dostateczna dla przeprowadzenia wielkiej kampanji wojennej, lecz pozwala nam już ona myśleć o zlikwidowaniu konfliktu ukraińskiego, stawianiu czoła niespodzianym napaściom, utrzymaniu wewnętrznego ładu. To ostatnie należy szczególnie podkreślić. Znajdujemy się bowiem ustawicznie w obliczu niebezpieczeństwa bolszewickiego. I pod tem mianem rozumiemy bynajmniej nie jakiś żywiołowy wybuch zaostrzonych przeciwności socjalnych, lecz poprostu „pronunciamento" bolszewickie. Możemy sobie powiedzieć zgóry, że przybywająca z Zachodu armja Hallera, nietknięta rozkładowemi wpływami wschodniemi, tęskniąca do ojczyzny, ideę państwową polską stawiąca nadewszystkiem, przez samo swoje istnienie będzie skuteczną ostoją przeciwko wszelkim spekulacjom na słabość polskiej władzy państwowej, na wywoływanie dezorganizacji i szerzenie zamętu".

A komuż zależy na tem szerzeniu zamętu u nas? Na to pytanie odpowiada śmiało p. Adam Bój w „Rozwoju":

„Burzycielami naszego życia narodowego, naszej przyszłości są—żydzi! Groźba bolszewizmu, która wisi nad naszemi głowami, odbierając moc twórczą i pogodę życiową, tak nieodzowną dla wszelkich poczynań, to groźba, stworzona przez żydów! Naród polski, dusza polska niedostępne są ponurym, okrutnym hasłom, głoszonym przez rzekomych oswobodzicieli ludzkości.

Ale w łonie narodu polskiego wyrósł olbrzymi pasorzyt, karmiony jego sokami,—wyrósł wrzód żydowski, który zatruwa nasz organizm powoli lecz skutecznie.

Jak jakiś potworny pająk oplątał swemi sieciami wszystkie dziedziny życia naszego, by zniszczywszy je, na ruinach zbudować dla siebie wygodne legowiska...

I oto panuje bezkarne złodziejstwo, łapownictwo, nadużycia na wszystkich szczeblach społecznych, chęć zysków, żądza pieniędzy zagłusza najpiękniejsze porywy, dusi entuzjazm, gubi patrjotyzm!

Podłoże gotowe: głód i nędza ogółu—zbytek i bogactwo jednostek! Odrzucenie ideałów, wzajemna nieufność, nienawiść, groźne pomruki u dołu, małoduszny egoizm u góry!

Posiew wschodzi! Burzyciele obalają swego największego wroga — siłę ducha! Spodziewają się, głodny nagi tłum rzucić na sytego pozbawionego ideału „burżuja", aby z tego bolszewickiego zamętu wyprowadzić panowanie żydów nad światem, z centrum, Nową Palestyną, w Polsce!"

Tym nadziejom na rychłe opanowanie Polski dotkliwy zawód sprawią zwycięstwa naszej armji nad wojskami Trockiego, zdobycie przez naszych bohaterskich żołnierzy, pomimo przeważających sił wroga: Lidy, Nowogródka, Baranowicz, i wreszcie tak drogiego sercom wszystkich Polaków Wilna.

Jednakże i te radosne wiadomości łączą się z „nowemi troskami", o których tak pisze p. J. Hł. w „Gazecie Warszawskiej":

Podczas świąt minionych cudne słoneczne chwile przeplatały się z mroźnymi porywami wiatru, w podobnyż sposób wiadomości radosne mieszały się z wieściami, budzącemi zaniepokojenie. Ostatnie dotyczyły przedewszystkiem Litwy. O tem, że dowództwo naczelne zamierza zdobycie Wilna uczynić darem świątecznym dla narodu—wiedziała cała Warszawa. I jakkolwiek słabe dotąd siły nasze militarne budziły pewne wątpliwości co do tego przedsięwzięcia, to jednak pewny już przyjazd wojsk Hallera uspakajał wszelkie powstające obawy. Z drugiej zaś strony niewątpliwie bardzo poważne względy nakazywały istotnie pośpiech w odebraniu Wilna od tychczasowych jego ujarzmicieli.

Ale z wiadomościami o tych zamiarach łączyły się też wieści niepokojące, całkiem innego rodzaju. Z Wodzem Naczelnym na wyprawę litewską pociągnął cały szereg działaczy, niezmiernie jednostronnie dobranych, wśród których nie było bodaj ani jednego, budzącego zaufanie powszechne tak w stolicy, jak i w miejscowem społeczeństwie polskiem na Litwie. Działacze ci wymykali się po cichu z Warszawy, bez porozumienia z kolegami w przedstawicielstwie kresowem, którym do dziś dnia władze wojskowe odmawiają przepustek do Wilna.

Pan J. Hł. w dalszym ciągu swego artykułu występuje ostro przeciwko mianowaniu p. J. Osmołowskiego Generalnym Komisarzem Cywilnym na Litwę i zwalcza wysuniętą w W. Sobotę przez „Gazetę Polską" koncepcję W. Ks. Litewskiego, twierdząc,

„że koncepcja ta jest wyraźnie sprzeczna z uchwałą znacznej większości Sejmu i że wszelkie kroki, któreby urzeczywistnienie tej koncepcji miały na widoku, bez zgody Sejmu przedsiębrane być nie mogą"

„Gazeta Poranna" porusza również, dnia 24 bm. zagadnienia polityczne, związane z pomyślnym rozwojem działań wojennych na Wschodzie, a mianowicie oświadcza:

„Polska nie posiadała ani nie posiada tendencji zaborczego imperjalizmu. Nie pragniemy ziem, zamieszkałych przez Litwinów, wcielać gwałtem do Polski. Ale ci sami Litwini którzy jeszcze niedawno pod rządami niemieckimi, najgwałtowniej występowali przeciw Polsce, teraz i w Paryżu i Warszawie, dokąd wysłali specjalną delegację z Szaulisem na czele, starają się doprowadzić do porozumienia z Polską. Owszem, z Litwinami chcemy żyć w zgodzie sąsiedzkiej, ale te ziemie litewsko-białoruskie, na których stanowimy siłę liczebną i cywilizacyjną, lub które same chcą żyć w bezpośredniej łączności z Polską, winny być do państwa polskiego przyłączone. Taka jest wola Sejmu i po tej linji, a nie w myśl pragnień wielkich ziemian z Litwy, marzących o osobnem państwie, złączonem unją z Polską—powinna pójść polityka polska".

„Gazeta Polska", która usilnie popiera konieczność porozumienia z Litwinami i Białorusinami na podstawie hasła niepodległej Litwy historycznej, czyli, jak fantazyjnie ujmuje to pismo, „rzeczypospolitej litewsko-białorusko-polskiej", sfederowanej z rzeczypospolitą polską—rozumie jednak, że nie sposób jest wogóle porozumiewać się z t. zw. „kowieńskim rządem litewskim".

W № 180-ym z dnia 23 bm. pisze trafnie „Gaz. Polska":

„Od kilku dni bawi w Warszawie przedstawiciel „litewskiego rządu" kowieńskiego p. Szaulis.

Przybył on z Kowna wraz z kilku innymi przedstawicielami i... pułkownikiem Relvul, członkiem misji ententy w Kownie.

Zestawienie tej delegacji jest oryginalne. Pułkownik ententy i p. Szaulis! Tak, jakby w imieniu Polski jechał dziś do Wilna wraz z misją ententy p. Studnicki. Wystąpienia bowiem p. Szaulisa i jego niedawna polityka bliźniaczo była podobna do polityki p. Studnickiego".

„A „rząd kowieński", którego przedstawicielem jest pan Szaulis istnieje na terenie okupowanym w dalszym ciągu przez wojska niemieckie. Wojsko litewskie o sile kilku tysięcy ludzi jest w związku ze stojącemi tam naprzeciw bolszewików wojskami niemieckiemi. Rząd ten zatem może być tylko rodzonym bratem naszej rodzimej, minionej już, na szczęście, Regencji. Jak Regencja była zależna od okupantów — tak rząd kowieński jest do dziś zależny od okupantów niemieckich, do dzisiaj tam będących—i do dzisiaj jest ich narzędziem.

Koncepcję „niepodległego państwa litewskiego w granicach d. W. Księstwa" popiera również gorąco p. T. Hołówko na łamach „Robotnika", który pom. inn. stawia Polakom na Litwie za zadanie „stworzenie

z masy białoruskiej—narodu białoruskiego". Podobny pomysł mógł się zrodzić tylko u tak impulsywnego publicysty, jak p. Hołówko, do którego wielce oryginalnych wywodów Redakcja „Robotnika" obiecuje jeszcze powrócić, co też i my nie omieszkamy uczynić na innem miejscu.

W obecnej chwili bardziej niż stanowisko P.P.S. w stosunku do Litwy interesuje nas stanowisko tej partji w stosunku do komunizmu, szczególnie wobec Zjazdu partyjnego w Krakowie.

P. Civis w „Kurjerze Warszawskim" pisze w tej sprawie:

„Wyznajemy otwarcie, że tej rozdzielającej granicy między światem pepeesowym a komunistycznym dotychczas nie dostrzegaliśmy. Natomiast widzieliśmy, jak niektórzy pepeesowcy częstokroć przemawiali na plenum rady delegatów robotniczych całkowicie w duchu komunistycznym: krytykowali i negowali wartość Sejmu ustawodawczego, wznosili okrzyki na cześć „uzbrojonego proletarjatu" i t. d. Widzieliśmy również, jak mowy tych pepeesowców frenetycznie były oklaskiwane nie tylko przez część pepeesowców, lecz przedewszystkiem przez wszystkich komunistów.

W całej ostatniej działalności politycznej P. P. S. każdy bystrzejszy polityk dostrzeże brak zdecydowanej linji politycznej".

Ze swej strony niejednokrotnie wykazywaliśmy chwiejność P.P.S., jej siedzenie na dwóch stołkach, nie będziemy więc powtarzali za p. Civisem wszystkich przykładów tej w najwyższym stopniu demoralizującej politycznie taktyki partyjnej naszych „socjalpatrjotów".

P. Civis podkreśla dalej:

„Oczywiście, że tak dalej być nie mogło. Zresztą, jak wiemy, P. P. S. sama najdotkliwiej ucierpiała z powodu chwiejności swej polityki. Niektórzy robotnicy-pepeesowacy, widząc kumanie się P. P. S. z komunistami, występowali z partji; inni znów pod wpływem mów i agitacji komunizujących pepeesowców przesuwali się w swych poglądach politycznych „na lewo" i zasilali szeregi „opozycjonistów".

W ten sposób opozycja przeciwko „górze partyjnej" rosła. Centralne władze partji stopniowo traciły grunt pod nogami: lewica partyjna zarzucała centralnym władzom zbytnią „pobłażliwość w stosunku do burżuazji"; odłam bardziej umiarkowany zbytnie kokietowanie komunistów. Obie strony były niezadowolone.

Centralny komitet robotniczy P. P. S. nie mógł zdecydować się na tę, czy też na inną stronę.

Dlatego też musi to uczynić kongres partyjny".

Słusznie stwierdza p. Civis, że

„Przyszła chwila, w której P. P. S. zmuszona jest przekroczyć Rubikon".

Nie można do nieskończoności dwóm bogom służyć. Raz wreszcie trzeba zrobić wybór pomiędzy walką na terenie parlamentarnym o swe poglądy a dążeniem do pochwycenia władzy siłą na wzór bolszewików.

W obozie naszych ludowców również istnieją kwestje otwarte. „Gazeta Ludowa", warszawski organ grupy Witosa, pisząc o „marnowaniu siły chłopskiej", zaznacza:

„Wybory do Sejmu nie wypadły—na ogół biorąc—dla włościan najgorzej. Posłów, z którychby można stworzyć potężny klub ludowy w Sejmie, jest w Sejmie przeszło połowa. Niestety, posłowie ci są rozbici na cztery kluby, które się dotąd nie potrafiły złączyć w jedną całość i stworzyć jednego klubu ludowego, któryby był największym i rozstrzygającym klubem w Sejmie. Kto temu winien, trudno tu opisywać. Dość, że tak jest. I jest źle, bo w ten sposób marnuje się siła chłopska w Sejmie".

„Poseł ludowy" narzeka dalej we wspomnianym artykule, iż

„w ten sposób, mimo większości chłopskiej w Sejmie chłopi mają mały wpływ na rządy w kraju, bo są rozbici na 4 kluby. Jeden poseł chłopski niweczy to, co drugi zrobić usiłuje. Kres temu położyć może tylko jeden silny klub w Sejmie i jedno stronnictwo na całą Polskę"

„Gazeta Ludowa" staje więc na już nawet nie klasowem lecz stanowem poprostu stanowisku, sądząc widocznie, iż wszyscy obywatele Rzeczypospolitej pochodzenia włościańskiego winni mieć zupełnie jednolite poglądy polityczne i społeczne.

Nam zaś wydaje się, że czasy podziału na wyłączne jakieś kasty i stany minęły, i posłowie w Sejmie muszą grupować się w koła poselskie stosownie do swych poglądów, a nie swego pochodzenia.

M.

Szkodliwe komunały i przesądy.

9. Oświata — nadewszystko! Oświata — to rzecz najważniejsza, to panaceum! Uregulować sprawę oświaty — to zapewnić Polsce szczęście, dobrobyt.

Świeżo odbyły się w Warszawie dwa zjazdy ogólno-polskie, poświęcone sprawom oświatowym i szkolnym: jeden t. zw. oświatowy, zwołany przez Macierz Polską, drugi—t. zw. Sejm Nauczycielski.

Zjazdy te, szczególnie drugi, zgromadziły ogromną liczbę uczestników, odznaczyły się wydatną wszechstronną pracą i niewątpliwie pozostawią po sobie ślady nieprzemijające.

Nie jest moim zamiarem zdawać sprawozdanie z tych zjazdów, aczkolwiek brałem udział w obydwóch, chciałbym tylko podzielić się z czytelnikami pewnemi wątpliwościami, które mi się nasunęły, gdym się przysłuchiwał obradom Zjazdu Oświatowego nadewszystko.

Oto dźwięczała w nim przeważnie nuta: „Oświata—nadewszystko! Oświata—to rzecz najważniejsza, to panaceum! Uregulować sprawę oświaty — to zapewnić Polsce szczęście, dobrobyt" i t. d.

Któż o tem wątpi, że oświata jest wielką rzeczą? Ale podobnie chyba wszyscy chcielibyśmy zapewnić Polsce rozkwit ekonomiczny, niezależność gospodarczą, zdrowotność, podniesienie moralne, religijne, pełnię twórczości artystycznej i naukowej.

Czy jednak pomiędzy temi dziedzinami jest jaka, zasługująca na wysunięcie jej na plan pierwszy, na uzależnienie od niej dziedzin innych? Żadna z nich nie może być zlekceważona, czy jednak jest jaka dziedzina życia narodowego, o którejbyśmy mogli powiedzieć, że jej rozwój zapewni triumf wszystkim innym?

Czy oświata jest może taką dziedziną?

Nie — po stokroć razy nie. Czas już rozstać się z tym racjonalistycznym przesądem, stworzonym przez Sokratesa, a wprowadzonym do Polski przez Staszyca i wreszcie przez pozytywistów.

Oświata—jak to wskazuje sam zresztą źródłosłów tego wyrazu—oświeca, pomaga się orjentować, jednak jest bądź co bądź czemś zewnętrznem jeszcze. Jej rola da się porównać do roli latarki wśród ciemnej nocy. Bez niej idziemy omackiem, możemy łatwo wpaść w dół, złamać nogę a nawet życie postradać.

A jednak z setką nawet latarek nie pójdziemy wcale naprzód, jeżeli nie mamy nóg zdrowych i silnych, jeśli nie mamy uformowanego kręgosłupa; a i wtedy jeszcze możemy iść i zajść -- lecz nieko-

niecznie tam, gdzie się iść godzi: potrzebna nam wola silna i skierowana do dobrego.

Owe nogi, ów kręgosłup—to siła żywotna narodu i jednostek, to moc jego biologiczna, zaciętość życiowa, gorący i ochoczy temperament, wreszcie silna wola, zmysł moralny, wrażliwe sumienie, odporność na wpływy ujemne, czujność obywatelska, uczciwość, poczucie odpowiedzialności jednostkowej i zbiorowej — słowem, to wszystko, co się rozumie pod słowem *charakter*.

Tak, nie oświata jest gwarancją szczęścia narodu. Pośród Niemców nie było całkiem analfabetów, brak jednak było moralności, zwłaszcza moralności zbiorowej, bo co do moralności jednostkowej u Niemców nie było gorzej niż gdzieindziej. Charaktery silne i wytrwałe, oparte o jasne poczucie etyczne—to podstawa i rękojmia zwycięstwa narodowego. Czyż człowiek piśmienny, czytający np. gazety stale, a choćby nawet prawdziwie wykształcony daje nam gwarancję, że na nim jako na człowieku i obywatelu można polegać? Czy np. pomiędzy paskarzami nie brak ludzi z uniwersyteckiem wykształceniem? I odwrotnie, czyż każdy z nas nie zna ludzi nawet niepiśmiennych, lecz zato uczciwych pracowników, dobrych ojców rodzin i pożytecznych członków społeczeństwa, na których sądzie i zdaniu można polegać?

Gdyby mię zapytano, cobym wolał: czy aby w Polsce było sto tysięcy szkół i tysiąc więzień, czy też ledwie tysiąc szkół i zupełny brak więzień — ani chwilibym się nie wahał, bo jestem pewien, że z chwilą zniknięcia zbrodni wzrosłaby żywiołowo żądza oświaty, natomiast wiem, niestety, że oświata sama bynajmniej nie jest jeszcze gwarancją postępu moralnego.

Jakkolwiek więc doniosłą funkcję w życiu narodowem pełni szkoła, jednak donioślejszą jeszcze rolę posiada rodzina i—niestety, będę posądzony o tendencje „klerykalne" — kościół. Szkoła zresztą sama oddziałuje przedewszystkiem moralną swą stroną, nie umysłową, pamiętać bowiem powinniśmy, że jak powiedział Romain-Rolland: „Ce n'est pas par les paroles q'on agit sur les autres, c'est par son être".

10. Nie należę do żadnej partji. Moja partja—to ojczyzna. Nasz indywidualizm, partje nasze nas zgubiły!

Oczywiście, w słowach tych jest część prawdy. Któżby jej nie dostrzegł? Gdy słowa te wypowiadał przed 180 laty Konarski, były one zbawienne i konieczne. Z biegiem jednak czasu zatraciły one posmak rzeczywistości, stały się zwolna komunałem, formą czczą bez treści i dziś się szermuje niemi równie chętnie jak, niestety, bezmyślnie.

Przenicujmy je bowiem należycie. Co się pod niemi kryje? Więc słowo „partja". Jeśli ono znaczy tyle co zacietrzewienie jednostronne, tak bezwzględne przejęcie się interesami *części*, że się poza niemi nie dostrzega interesów *całości*, to w takim razie, oczywista, partyjność jest rzeczą złą i nienormalną. Jednak w normalnem społeczeństwie europejskiem przynależność do partji wypływa wprost z naturalnego zróżniczkowania społecznego, jest poprostu łączeniem się ze sobą ludzi do siebie *podobnych*, dla jednych konkretnych celów, które ze swej strony podporządkowane są ogólno-narodowym powszechnym celom.

Partyjność tak pojęta nie tylko nie ma w sobie nic zdrożnego, lecz wręcz jest koniecznym warunkiem normalnego rozwoju społecznego. Jednostka, nie poczuwająca się do związku, przynajmniej jako sympatyk, z tą lub ową grupą społeczną, „partją", składa dowód niewyrobionych przekonań i zgóry musi rezygnować z jakiegokolwiek wpływu na społeczeństwo.

Tyle więc o „partjach". A teraz ów osławiony polski indywidualizm! Niewątpliwie, leży w naszym narodowym charakterze pewna dążność do decydowania pochopnego o wszystkiem, do wyrywania się jak Filip z konopi ze swem zdaniem, czy kto pyta o nie, lub nie pyta, pewna czujna niechęć do wszystkiego, co ktokolwiek robi beze mnie, („A cóż to, czy ja gorszy od niego?"), niechęć do przyjmowania tego, co mi inny do przyjęcia podaje.

To wszystko nazwano, słusznie czy niesłusznie, „polskim indywidualizmem". A gdy przyszedł czas, że go potępiono, zabrano się do swoistej kuracji: zapragnięto radykalnie go usunąć, szerząc zdania, jak te co powyżej, głosząc konieczność zgody, jednomyślności, posłuszeństwa. Zaczęło się wydawać naszym nieszczęsnym dziadom i ojcom, że dość się zaprzeć na chwilę lub też na dłużej woli własnej, dość się poddać „społeczeństwu"—a jużci upragniona zorza wolności zaświta. Przypomnijmy tylko sobie dyktaturę Chłopickiego i jakowąś mistyczną wiarę w jej skuteczność, dalej zaparcie się bezprzykładne i poświęcenie w r. 1863, wreszcie nie mniej może żarliwe służby u „społeczności" różnych „Fachowców" i innych pozytywistów.

Tak, to była walka z osławionym polskim indywidualizmem. Objawem jej znamiennym była i jest specyficzna cecha polskich obrad publicznych: bezprzykładna ilość wniosków przyjętych „jednomyślnie". „Jednomyślność" ta jednak, niestety, najczęściej bywa... bezmyślnością i bierze źródło w tem samem wieczyście polskiem lenistwie, z którego się rodzi ów „indywidualizm": tam nie chcą słuchać, bo się lenią, tu nie chcą oponować, roztrząsać, bo się znów lenią!

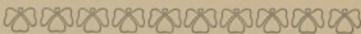
„Społeczeństwo" — to płaszczyk, pod którym się kryje bezwład umysłowy i moralny, bezodpowiedzialność, chęć wykręcenia się od pracy, od obowiązku przemyślenia osobistego, twórczego, natomiast chęć utrącenia, zdeptania innej indywidualności wybitniejszej, w imię konieczności rzekomego podporządkowania się „woli społeczeństwa". Nienapróżno Wyspiański wołał: „Społeczeństwo — to tortury najsroższe", a dalej:

„Społem—jest to malowanka,
Społem—jest to duma panka,
Społem—jest to chłopskie:—w pysk!
Społem—to papuzia kochanka!"

Nie, „indywidualizmu" polskiego nie można uleczyć próbami radykalnego przeszczepienia na jego miejsce obcego nam zgoła zaparcia się samego siebie, poświęcenia, „ofiary". Nie allopatja leczy choroby charakteru narodowego, lecz tylko homeopatja. Tylko umiejętna kultura indywidualizmu, hodowanie mocnych charakterów i wyraźnych indywidualności, mających swoje odrębne zdanie i zdolnych przeciwstawić się „społeczeństwu"—to jest naczelne zadanie naszego bytu narodowego, nie zaś bierne poddawanie się jakowejś mistycznej „woli" społeczeństwa i urojone, ponadpartyjne, „ojczyźniane" zaparcie się samego siebie.

Kto tego nie rozumie, nie chce zrozumieć i z zachwytem szerzy jednostronny kult „społeczeństwa", starając się demagogicznie innych doń nagiąć, ten zwykle będzie pobity swoją bronią i przekona się, że i „społeczeństwo" może być przysłowiowym kijem o dwóch końcach.

S. C.



Uwagi.

Święta przeszły pod znakiem Hallera i... mąki amerykańskiej. Haller był poezją, a mąka—prozą. To połączenie prozy z poezją wydało bardzo dobre wyniki; nastrój ogólny był dużo pogodniejszy niż którychkolwiek świąt w ciągu ostatniego pięciolecia.

Zapobieżenie przez wydział walki z lichwą żywnościową, paskowi na drożdże w ostatnich dniach przedświątecznych w Warszawie—też wiele dopomogło do podniesienia nastroju. Ba, nawet po raz pierwszy chyba słyszeć się dały z ust gospodyń warszawskich słowa uznania pod adresem tego urzędu.

W Niemczech, w Heilsbergu, z powodu braku jaj na święta kobiety wywołały tak poważne rozruchy i zajęły tak groźną postawę, że aż trzeba było ogłosić stan oblężenia i wezwać wojsko do przywrócenia porządku. Prawda, że Polska to nie Niemcy, a Warszawa nie Heilsberg i u nas drożdży nie brakowało tylko były ukrywane dla podbicia ceny—ale że ukrócenie paskarskich zakusów oszczędziło gospodyniom warszawskim koło miljona marek i usunęło mnóstwo rozgoryczeń, to jest fakt niezaprzeczalny.

Ukoronowaniem pogodnego nastroju świątecznego były wiadomości o odebraniu z rąk bolszewickich Wilna, Baranowicz, Nowogródka—o odsunięciu ukraińców od Lwowa.

Cieszyli się ludzie, niewiele nawet sarkając na nieco chłodny stan pogody. Cieszyli, cieszyli — nie wszyscy jednak. Naprzykład, wszystkie warszawskie Altery, działające w komuniźmie i bolszewiźmie, (dwie nazwy—jedno licho) mieli miny mocno zalterowane. Niepowodzenia bolszewików na Litwie, urzeczywistniony przyjazd Hallera—mocno im popsuł szyki, a w dodatku ten pomysł „halerczyków" z ugoszczeniem dzieci wolskich. Toć na Woli tak się bolszewicy czuli już zaawansowani, a tu taki „koncept" popsuł robotę okropnie. Setki ojców i matek wolskich przekonało się, że wojsko polskie, to—wbrew agitatorom bolszewickim—nie jest żadna osłona krwiopijczych burżujów ale zastęp dzielnych ludzi, mających serca, czujące gorąco niedolę współrodaków wszystkich warstw.

— A szwarc jure!—klną przywódcy komunistów miejscowych—gotów się nie udać zamierzony zamach bolszewicki w Polsce w okresie 1-go maja...

(s.).

* * *

Osoba świeżo przybyła z Anglji informuje nas o bezczelnej agitacji antypolskiej, jaką uprawiają żydzi w Londynie. W czasach ostatnich wprost niema tygodnia, żeby nie było jednego albo dwóch zebrań wiecowych, na którym udający anglika żydek zdaje sprawozdanie z jakoby zaszłego pogromu w Warszawie, Poznaniu, Krakowie czy innem większem mieście polskiem. Kłamliwe te sprawozdania o zmyślonych faktach dla wzbudzenia zaufania do ich wiarogodności okraszone są również fałszywemi cyframi zabitych, rannych, zgwałconych lub w inny sposób poszkodowanych.

Wychodzące w Londynie pisma żydolubskie opisują szczegółowo owe zebrania przeciwpolskie, w złej czy dobrej wierze dając też i dane liczbowe z owych rzekomych pogromów, wylęgłych w wyobraźni przewrotnych agitatorów żydowskich.

Otóż ciekawą jest rzeczą, czy nasze ministerjum spraw zewnętrznych wie o tem, a jeżeli wie, to dlaczego tej nikczemnej robocie nie przeciwdziała? W chwili obecnej każdy fałsz o Polsce w prasie zagranicznej winien być natychmiast w tejże prasie prostowany, a cóż dopiero mówić o systematycznej kampanji żydów przeciw Polsce! Szkodzi ona ogromnie sprawie polskiej i pozostawianie jej bez przeciwdziałania może odbić się bardzo ujemnie na najżywotniejszych interesach odradzającego się państwa.

(s.).

* * *

Daje się zauważyć u nas w stosunku do wojska objaw niezdrowy: faworyzowanie jednych rodzajów broni kosztem innych.

Po odbiciu Lwowa wchodzą wojska polskie do miasta. Idzie piechota—cicho; jedzie artylerja—cicho; ukazuje się kawalerja—zrywa się burza oklasków. Czy konnica położyła największe zasługi przy oswobodzeniu miasta? — Bynajmniej, tylko wygląd ułanów jest efektowniejszy.

Zbiera się na święcone dla wojska polskiego. Zobaczmy rubryki ofiar w pismach codziennych, jak wiele złożono datków specjalnie na ułanów. Czyż armja polska ma więcej ułanów, niż piechoty?—Bynajmniej, tylko w ułanach jest narzeczony panny Mimi, przyszły narzeczony panny Loli, przypuszczalny narzeczony panny Niny, kuzynek panny Wigi, a panny Mimi, Lola, Nina, Wiga należą do tak zwanego towarzystwa, więc w sferach majętnych więcej jest mowy o ułanach.

Czy u nas wszystko i zawsze będzie rozstrzygała zewnętrzność lub ustosunkowanie. *(s.).*

* * *

Podobno w Łodzi, panie, które „poświęciły się" przygotowywaniu bielizny dla żołnierza polskiego, zbierały się na wspólne szycie i czas tak bezgranicznie ciężkiej pracy uprzyjemniały sobie nie tylko rozmową ale i słuchaniem specjalnie im przygrywającej orkiestry wojskowej.

Aż się wierzyć temu nie chce, by to było prawdą. Jeżeli jednak tak było rzeczywiście, to aż się rumienić należy, iż ze wszystkiego robi się u nas—mówiąc delikatnie—szopkę. *(s.).*

* * *

Czasem i niefachowiec znajdzie coś ciekawego w piśmie zawodowem. Wpadł mi do ręki ostatni numer „Przeglądu Księgarskiego" i dowiaduję się z podanej w niem korespondencji lwowskiej, że od 1-go listopada roku ubiegłego nie doszła do Lwowa ani jedna przesyłka z książkami ani z Krakowa ani z Warszawy. Trochę niektórzy księgarze sprowadzają w ten sposób, że sami wyjeżdżają do Krakowa i stamtąd przywożą tyle, ile ze sobą zabrać mogą. Koszta takiej ekspedycji są tak znaczne, a ilość książek w ten sposób dostarczonych tak niewielka, że doliczanie do cen sklepowych 20% nieraz nie wystarcza na pokrycie tych wydatków. Wskutek tego w wynędzniałym, lektury spragnionym Lwowie książka stała się droższą o 30 do 40%, niż w innych środowiskach polskich.

W ostatnich tygodniach dowóz żywności do Lwowa poprawił się nieco, czyby nie warto było ułatwić i dowozu pokarmu umysłowego. Dla ludzi kulturalnych — a takich Lwów liczy bardzo dużo — dla utrzymania odporności w ciężkich chwilach przełomowych, pokarm umysłowy również jest ważny jak aprowizacja, jeżeli nawet nie ważniejszy.

Wielce wskazanem byłoby więc, gdyby czynniki miarodajne, pomimo całego braku wagonów kolejowych, dawały choć raz na tydzień możność przewiezienia odpowiedniego zapasu książek z Krakowa do Lwowa. Kraków zaopatruje się i w warszawskie i w poznańskie wydawnictwa, mógłby więc je dostarczać i do Lwowa. Wśród tylu udręk i cierpień niechże lwowianom nie dokucza choć brak i drożyzna książek. (s.).

* * *

Tyle zawsze muszę ludziom naprzyganiać, że z prawdziwą przyjemnością korzystam z okazji możności pochwalenia. Na ową pochwałę zasłużył i nauczyciel początkowej szkoły w Szreńsku i dzieci, do tej szkoły uczęszczające. Oto, jak opisuje „Ziemianka" (№ 4), dzieci szreńskie, zachęcone przez swego nauczyciela, złożyły drobne sumki, przeznaczone na ich przyjemności, na cel ogólno-narodowy. Zebrało się ogółem przeszło 100 marek, za które zakupiony został stomarkowy udział w pierwszej polskiej pożyczce państwowej, a pozostałość oddano na skarb narodowy.

Gdyby tak w każdej szkole początkowej znalazł się nauczyciel czy nauczycielka należycie uspołeczniona, to same dzieci za przykładem Szreńska mogłyby złożyć przeszło miljon marek. Suma warta zachodu, a przytem z dzieci tak wcześnie wdrożonych do myślenia o potrzebach kraju z pewnością wyrosną dzielni obywatele i dzielne obywatelki kraju.

Niechże Szreńsk znajdzie wszędzie naśladowców!...

(s.).

* * *

„Wszelka praca akordowa jest całkowicie wykluczona!" Tak brzmi ostatni punkt umowy między pewnym związkiem zawodowym robotników wykwalifikowanych a organizacją pracodawców, niedawno w pismach ogłoszonej, jako przykład zgodnego i pomyślnego załatwienia zatargu ekonomicznego. Bolesnem echem odbije się ta umowa w sercach wszystkich, którzy zdają sobie sprawę ze stanu rozpaczliwej ruiny materjalnej i moralnej, w jakim się Polska znajduje. Jest pewnikiem oczywistym, że tylko praca może zbudować nam Ojczyznę, że tylko praca może dać dobrobyt i uspokojenie, a także moralne oparcie duszom, znękanym wojną. Zdrowie narodu i najżywotniejszy interes państwa wymagałby raczej ustawy zakazującej płacenia za pracę inaczej, jak za jej wyniki — a zatem wprowadzającej przymus akordowej właśnie umowy, albo określenie wymagań wyników pracy, płaconej na dniówkę.

Po wojnie zwłaszcza trzeba wychować znów ludzi do wysiłku ciągłego, do pracy twórczej, gdy przez lat kilka przywykli do wielkiego nawet chwilowego wysiłku — ale bez związku z twórczemi zadaniami życia; żołnierz przywykł do trudu, jak do sportu, ale swoje potrzeby przywykł widzieć zaspokojone cudzą troską, odwykł doszczętnie od tego fundamentu moralnego, jaki stanowi związek przyczynowy pracy zarobkowej z dobrobytem, z opędzeniem potrzeb. Do życia pracowitego trzeba ludzi nanowo wychować. A tymczasem metoda organizacji robót publicznych utrwala w ludziach nałóg amatorskiej, niedbałej, niesumiennej pracy, przyzwyczaja ich do żądania i brania pieniędzy publicznych — bez dawania wzamian uczciwej, skutecznej pracy. I masy pod wpływem demagogicznej agitacji zazdrośnie strzegą przywileju próżniactwa, przywileju tej upokarzającej płacy na dniówkę bez żadnego zobowiązania co do wyników pracy, któraby rumienić powinna ze wstydu uczciwego robotnika. Dopóki ten fatalny nałóg nie zostanie przełamany, o odbudowie kraju i o podźwignięciu go z nędzy mowy być nie może. Trzeba, aby z największym rozmachem prowadzona agitacja oświatowa wpoiła w masy robotnicze to przekonanie, że jedyny ratunek jest w pracy, i że najkorzystniejsza w wielu wypadkach dla robotników właśnie jest praca akordowa. Że ustalenie tego poglądu, uzależnienie płacy dziennej od gatunku pracy, albo wprowadzenie płacy akordowej — jest pierwszorzędną koniecznością państwową — to trzeba, by Sejm sobie jasno uświadomił przy traktowaniu sprawy pozbawionych pracy, robót publicznych i ochrony pracy. (r.).

* * *

Przy budowie nowego państwa dobór ludzi wydaje się być rzeczą pierwszorzędną, zwłaszcza na wyższych stanowiskach, kwalifikacje kandydatów podlegaćby winny szczególnie starannemu zbadaniu. Tymczasem u nas nawet na ministerjalne stanowiska, jakoby rozmyślnie unikano ludzi najlepszych i zapewne sam p. Supiński w przystępie szczerości z samym sobą, musi odczuwać niemałe zdziwienie, że właśnie na niego padł wybór z pośród wielu wybitnych prawników polskich; tak samo p. Próchnik zapewne dotąd nie może zrozumieć dlaczego on właśnie, przy tak licznym poczcie pierwszorzędnych inżynierów polskich, z których nie jeden prowadził już olbrzymie przedsiębiorstwa i roboty — dlaczego właśnie on, pan Próchnik, musiał wziąć na siebie ciężar kierownictwa ministerjum robót publicznych. To samo się dzieje we wszystkich dykasterjach. Gdybyśmy mieli zdać sprawę z te-

go, jakie zasługi dyplomatyczne wobec mocarstw Ententy zaleciły d-ra Kazimierza Dłuskiego na najtrudniejsze i najodpowiedzialniejsze stanowisko obrońcy interesów polskich na Kongresie, bylibyśmy w niemałym kłopocie. Ale zato możemy wskazać, że p. Dąbrowski, były redaktor smutnej pamięci „Dziennika Petrogradzkiego", nadawał się szczególnie, wyjątkowo wprost, na urzędnika do Ministerjum Handlu i Przemysłu. Bo oto mamy licznych świadków, jak ten wybitny działacz emigracyjny na zebraniu, przez quasi-jenerała Babiańskiego urządzanem w Piotrogrodzie pod koniec 1916-go roku w sprawie Gdańska, wygłosił następujący wytrawny sąd z punktu widzenia handlowo-przemysłowych interesów Polski: „Zachciało się Dmowskiemu Gdańska dla Polski, doprawdy nie wiem poco, chyba poto, żeby Polska mogła masło i ser eksportować do Danji, ale zapomniał mądry p. Dmowski, że Danja sama ma nadmiar nabiału i sama go eksportuje. Więc nic Polsce po Gdańsku" Doprawdy ze świecą szukać bardziej kwalifikowanego urzędnika dla polskiego Ministerjum Handlu i Przemysłu. Dokładnemi referencjami o wielu kolegach p. Dąbrowskiego, importowanych ze Wschodu, którzy obsiedli nasze ministerja, korzystając z chwilowej skutecznej protekcji imienia jednego z trzech Aleksandrów (Lednickiego, Babiańskiego, albo Więckowskiego), wielu wygnańców służyć może pp. ministrom w każdej chwili. Doprawdy należy się niepodległej Polsce, by nie „zaśmiecano" takich urzędów byle kim bez zasięgnięcia języka u świadomych roli, jaką ci panowie grali na wygnaniu wśród rodaków. *(r.).*

Z PISM I KSIĄŻEK.

Marja Sokolnicka: „**W 350 rocznicę śmierci św. Stanisława Kostki**". Poznań. 1918. Str. 97. Sześć ilustracji w tekście. Cena 4 mk. 10 fenigów. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha.

W sposób przystępny autorka opisała dosyć szczegółowo życie i śmierć świętego młodzieńca, umiejętnie podkreślając to, co obecnym młodym pokoleniom szczególniej jako przykład stawiać należy.

Książkę tę polecić można do jaknajszerszego rozpowszechnienia, bo piękny żywot św. Stanisława Kostki niejedno młode serce pociągnie do Boga, do życia szlachetnego i pożytecznego. Życie współczesne mało daje wzorów do naśladowania, dlatego też tem skwapliwiej powinniśmy dawać naszej młodzieży do czytania życiorysy i żywoty zasłużonych i świętych Polaków, żyjących w dawniejszych wiekach. Żywot św. Stanisława szczególniej nadaje się do tego celu. *(a).*

F. Czerwijowski: „**Bibljoteki powszechne**". Podręcznik dla zakładających i prowadzących bibljoteki. Warszawa. 1919. Str. 64 Cena 1 mk. 10 fen. Skład główny w Związku Bibljotekarzy Polskich. Wydane z zapomogi Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Krótko, treściwie a w sposób wielce praktyczny autor zebrał na niewielu stronach swej broszury to wszystko, co wiedzieć należy, chcąc poprowadzić czytelnię czy bibljotekę w sposób prawidłowy. Kierownicy i opiekunowie bibljotek popularnych, a zwłaszcza parafjalnych, powitają ten podręcznik z zadowoleniem. *(a).*

„SPRAWA" wychodzi pod kierunkiem X. Dr. Kazimierza Lutosławskiego przy najbliższym udziale X. Prof. K. Tomczaka oraz panów T. Błażejewicza, J. Chacińskiego i X. Dr. B. Wilanowskiego.

Prenumerata „SPRAWY" wynosi rocznie Mk. 55. półrocznie Mk. 30, kwartalnie Mk. 16. Prenumeratę przyjmują wszystkie Księgarnie: Ajencje, Kantory pism i Redakcje o pokrewnym kierunku.

OGŁOSZENIA: Za jeden wiersz petitu, lub jego miejsce: przed tekstem Mk. 1.50, w tekście Mk. 3.—, reklamy Mk. 1.25, zwyczajne Mk. 1.—
Administracja: Zgoda 5, w podwórzu, otwarta od g. 9 do 3. Przekazy należy adresować wyłącznie: Administracja „SPRAWY" Zgoda 5.

Przedpłatę wnosić można w każdym urzędzie pocztowym na rachunek nasz № 65 w Pocztowej Kasie Oszczędności w Warszawie.

Redaktor i wydawca: X. Dr. K. LUTOSŁAWSKI. Złożono i odbito w drukarni F. Wyszyński i S-ka, Zgoda 5.